



ROK LVIII

NR 25

**BLUSZCZ** TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 20 CZERWCA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: O przysposobieniu kobiet do obrony kraju—*Hanna Cybulska*. Reforma prawa małżeńskiego—*Jadwiga Krawczyńska*. Aktualne zagadnienie wychowawcze—*K. S. Teodora z Narbuttów Monczuńska*—*Marjon Dubiecki*. Książki na półkach (dok.) *Stanisława Kuszelewska*. Nieznany autograf *Narcyzy Żmichowskiej* p. t. „Dwoiste Życie” (dok.)—z autografu wydała—*Zofja Szmydtowa* Świat Kobiety (część III)—*Marja Grossek-Korycka*. Wiersze—*Julja Dicksteinówna* Idylla na Arctyku (c. d.)—*Juljusz Wirski*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Młaszewska*. Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina braclawska (c. d.)—*Dr. W. L.* Kobieta w świetle i w domu—*Z. B.* Z Ruchu Wydawniczego. Dział praktyczny: Mody i roboty. Najmodniejsze uczesania. Nowości i zmiany—*W.* „Derby” w Warszawie—*W. L.* Artystyczne roboty ze skóry—*Cz.* Tayloryzm w gospodarstwie domowym—*A. Grzybowska*. Porządki domowe przed wyjazdem na letnisko—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego—*Dr. med. J. Świtalska*. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy „Okręty, które płyną wśród nocy...” (c. d.)—*Beatrix Harraden*. TABLICA KROJÓW. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych.

## O PRZYSPOSOBIENIU KOBIEK DO OBRONY KRAJU



artykuł p. Heleny Pawłowiczówny w № 12 „Bluszczu” wykazał konieczność przysposobienia całego narodu na wypadek wojny i podkreślił, że dotyczy to zarówno mężczyzn — jak i kobiet. Kwestją interesującą nas bezpośrednio na łamach „Bluszczu” jest właśnie owo przygotowanie

kobiet do wzięcia czynnego udziału w ewentualnej walce o całość i niepodległość państwa.

Aczkolwiek wojna wydaje się być tylko „straszakiem”, jednakże obowiązkiem naszym jest jasno uświadomić sobie, iż mimo tendencji pokojowych obecnej polityki — jest to ewentualność, z którą się każdy naród bardzo poważnie liczy.

Znamy akcję pomocniczą kobiet w wojnie 1918 — 1920 r. lecz jak słusznie p. Pawłowicz zaznacza wykazała ona 30% pożytku przy 150% wysiłku, a to wskutek braku celowego zorganizowania pracy kobiet. Z przykrością stwierdzić musimy, że mimo wszystko dzisiaj znajdujemy się mniej więcej w tem samym położeniu. Jeżeli jutro wybuchnie wojna — staną karne szeregi armji. Dziś już każdy obywatel ma ściśle wyznaczoną rolę w chwili mobilizacji: miejsce, dzień, godzina, najdrobniejszy szczegół ekwipunku — wszystko jest dokładnie określone i wyznaczone, a cały wysiłek jednostki w dniu wy-

powiedzenia wojny — to ściśle wykonanie rozkazu. Tak się przedstawia armja czynna, w której nie do pomyslenia jest najmniejszy chaos w tej tak doniosłej w następstwa chwili. Jak smutnie przedstawia się akcja społeczna — pomocy, niesionej przez obywatelki polskie! Jeżeli wojna wybuchnie jutro, my dopiero pojutrze pomyślimy o tem, jak nieść pomoc którą niewątpliwie szczerze i prawdziwie nieść chcemy. I powtórzy się ten sam chaos, wiele trudu i wysiłków znów pójdzie na marne, a w ostateczności pomoc społeczna nie będzie w stanie zaspokoić najpilniejszych potrzeb wojska, które winno mu dać społeczeństwo.

Wojskowość przewiduje 5 działów służby pomocniczej kobiet w wojsku w czasie wojny a mianowicie: służba sanitarna, oświatowa, łączności, kancelaryjna i gospodarcza. Każdy z tych działów to olbrzymia dziedzina pracy, mogąca zatrudnić tysiące pracowniczek. Praktyka i doświadczenie wykazały, że kobieta we wszystkich powyższych dziedzinach oddać może ogromne usługi.

Musimy dziś już odpowiedzieć na to: jak pomoc tę nieść będziemy? i musimy odpowiedzieć, konkretnie i drobiazgowo.

Myśli powyżej omówione jał w życie wcielił Komitet Społeczny Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju, w którego skład weszły prawie wszy-

stkie społeczne organizacje kobiece. Komitet ten zdaje sobie sprawę z całej doniosłości zadania, oraz widzi, jak szerokie ramy winna zakreślić sobie tego rodzaju organizacja. Niestety komitet zbyt szczerze rozporządza dotychczas środkami. Konkretną pracę prowadzi tylko w tym zakresie, na jaki zdobyć się może w dzisiejszych warunkach wobec słabego zainteresowania społeczeństwa ideą przysposobienia kobiet do obrony kraju.

Idea ta nie jest bynajmniej w naszym społeczeństwie popularna. Ogromna większość obywateli nie wie o niej, nigdy o niej nie słyszała, lub wytworzyła sobie najnieśluszniej w świecie zgoła fałszywe o niej pojęcie. Przygotować kobietę do obrony kraju to nie znaczy: ubrać ją w mundur, dać jej do ręki karabin, wymusztrować i nauczyć władać bronią, to nie jest tworzyć wojsko w spódnicy, zatracać kobiecość, a rozwijać instynkty militarno-chłopięce, uczyć wielkich kroków, zamasztych ruchów itd. to nie tworzenie typu „chłopczycy“ powojennej o militarnem zabarwieniu. Przeciwnie! Przygotować kobietę do obrony kraju, to wyszkolić fachowo sanitariuszkę, instruktorkę oświatową, funkcjonariuszkę gospodarki wojskowej, kobietę łącznika przy radio-telegrafii, telefonie...

W dniu mobilizacji potrzebną jest kilkotyśięczna ilość sanitariuszek do obsługi szpitali. Czerwony Krzyż, jedyna szkołająca dotychczas w tym kierunku organizacja, posiada ich zaledwie dziesiątą część, gdzie pozostałe 90%? Instruktorzy oświatowi możemy niemal na palcach policzyć. Kobiet szkolonych w łączności poza zatrudnionymi w czasie pokoju, t. j. nie dającymi się wykorzystać w okresie mobilizacji, nie mamy wcale itd! Wysiłki Komitetu, nie osiągną niczego, dopóki nie uświadomi sobie powyższego najszerzy ogół społeczeństwa kobiecego.

Kobieta w wojsku — ten żołnierz w spódnicy — jest straszakiem dla wszystkich. — Dopóki go nie usuniemy ze swej wyobraźni — kobiety przygotowane do obrony kraju będą stanowiły tylko nieliczną garstkę, niemającą szerszego wpływu i możliwości realizowania swych haseł. Prace Komitetu muszą pójść po linii zdecydowanego uświadomienia społeczeństwa w tym kierunku.

Dziś po dwóch latach pracy Komitet wykazał się może rzeczą najważniejszą, na którą poszło maksimum wysiłków jednostek kierowniczych — dwoma obozami letnimi. W obozach ukończyło również kilkanaście dziewcząt kurs przysposobienia wojskowego stopnia II-go — ma to być zaczątek kadry instruktorskiej, kadry, która organizować będzie nadal już w większej ilości tego rodzaju obozy letnie, jak i zimowe kursy przysposobienia wojskowego.

Lecz czy choć jedna z uczestniczek obozu w chwili wybuchu wojny zdolna jest i odpowiednio przygotowana do podjęcia fachowo jednej z powyżej omawianych służb pomocniczych w wojsku? Sprawa wychowania fizycznego i moralnego kobiet jest niezmiernie ważna, i nie może być pominięta w przysposobieniu kobiet do obrony kraju, lecz nie jest głównym jej celem, a może stać się tylko dużą pomocą przy spełnianiu obowiązków, które jednak trzeba umieć fachowo spełniać.

Szkoda tracić tyle wysiłków wyłącznie na stronę wychowawczą. — Czynić mogą i czynią to w miarę sił i możliwości poszczególne organizacje sportowo-wychowawcze jak: Harcerstwo, Sokół, Związek Strzelecki i inne, stanowiące części składowe tego Komitetu. Przed Komitetem przysposobienia kobiet leży jeszcze odłogiem sprawa zorganizowania całej akcji mobilizacyjnej i druga niemniej ważna — objęcia swymi wpływami całej Rzeczypospolitej i dotarcia wszędzie, do najdalszych zakątków? Niech na terenie każdej placówki danej organizacji powstanie jeden kurs sanitarny, łączności, kult. oświatowy lub gospodarczy. Niech placówka ta (hufiec, oddział) dokładnie zarejestruje i zewidencjonuje uczestniczki kursu jako rezerwę pomocniczą — a tysiące kobiet wyszkolonych nie będą już dla nas cyframi iluzorycznymi.

Gubimy się w drobiazgach. — Niewątpliwie ważne jest to, by kobieta oswojona była z niewygodami, ważnym jest by w razie potrzeby (zresztą wyjątkowej) umiała stanąć w obronie mienia państwowego i własnego bezpieczeństwa, — ale najważniejszym jest, by sanitariuszka umiała nałożyć opatrunek, by łącznikowa wprawnie operowała alfabetem Morse'a, instruktorka oświatowa umiała zorganizować życie kulturalne i pracę oświatową w danym oddziale.

Hasłem przysposobienia kobiety do obrony kraju nie jest zabawa w wojsko — lecz planowe zorganizowanie kobiet wyszkolonych fachowo w służbie pomocniczej armji.

Akcja poprowadzona w tym kierunku musi przyjąć formy prawne. Odnośne czynniki rządowe muszą okazać pomoc i poparcie — tem bardziej, iż jedynie u nas jako w państwie jeszcze nazbyt młodem jest to akcja społeczna — inne narody bowiem rozstrzygnęły ją po prostu jako jedną z wielu czynności państwowych na równi z przysposobieniem wojskowem młodzieży męskiej. Ustawa o przysposobieniu kobiet przedłożona do zatwierdzenia Sejmu nie wywołała najmniejszego zainteresowania — a nie mogła wywołać dlatego, że dla niezmiernej większości społeczeństwa jest to kwestja zupełnie nieznaną i obojętną.

Gdy Komitet Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju, opierając się na zrozumieniu i dobrej woli wszystkich organizacji, wchodzących w jego skład — skieruje maksimum swych wysiłków w stronę natychmiastowego fachowego szkolenia kobiet w służbie pomocniczej — idea tej służby musi się spopularyzować, a znalazłszy poparcie społeczeństwa nie napotka na dotychczasowe trudności u władz. Trzeba tylko ośmieszonemu typowi żołnierza w spódnicy — przeciwstawić wykwalifikowaną w jednym z wyżej wymienionych działów — pracownicę. Mając w pierwszym roku choćby z największym trudem wyszkolonych paręset kobiet — w następnych utworzyć z nich tysiące będzie już znacznie łatwiej, zwalczyć przesady społeczeństwa i pozyskać zainteresowanie sfer rządzących. Atutem tym operując przesłonięty z łatwością obraz nieszczęsnej „chłopczycy“, stawiając na jej miejsce wykwalifikowaną w odpowiednim dla siebie dziale pracownicę.

Hanna Cybulska



# REFORMA PRAWA MAŁŻEŃSKIEGO

(Wywiad z prof. Karolem Lutostańskim członkiem Komisji Kodyfikacyjnej).

Kwestja reformy prawa małżeńskiego należy u nas obecnie do... kwestyj drażliwych. Boją się ludzie o niej poważnie myśleć i mówić, bo znaczy to — wetknąć kij w mrowisko! Gryzą nas naprawdę te mrówki, wszystkich razem i każdego z osobna, ale przynajmniej.. pocichu.

Tylko od czasu do czasu z jakiegoś zebrania, dla ożywienia nudnej atmosfery, wyrwa się krzyk: „Żądamy rozwodów“, a echo z przeciwległego, równie nudzącego się zebrania, odpowiada: „Precz z rozwodem, truciście rodziny!“ Tam się woła o ślub cywilny, a tu się peroruje na temat obrony religii i sakramentu.

Od hasła wiecowych — skóra cierpnie, kodeksy jednak ani drgną, a życie? Życie pędzi naprzód, zbrojne w swe istotne prawa i nie czeka... Codzienne konflikty małżeńskie, doprowadzające niekiedy do skandalów i do krwawych tragedji, łamiące życie jednostkom, ujawniają, w jakim chaosie prawnym żyjemy. Oczywiście, żaden na świecie kodeks nie zapobiegnie warjactwom sentymentalnym, lub pospolitym nadużyciom — jednakże nieład, a nawet sprzeczność istniejąca w zakresie prawa małżeńskiego na ziemiach polskich, w wysokim stopniu tym nieprawidłowościom sprzyja. Przykładów nie potrzeba szukać ze świecą i nie mam zamiaru się tu nad nimi rozpisywać. Każdy znajdzie ich dość w najbliższym otoczeniu.

Warto natomiast tej sprawie, która jest pierwszorzędną sprawą kobiety i rodziny, dać oświetlenie obiektywne i faktyczne. Ponieważ komisja kodyfikacyjna już dość daleko posunęła swe prace nad tym materiałem, referent i autor projektu prawa małżeńskiego w Polsce, znakomity prawnik, profesor uniwersytetu warszawskiego, dr. Karol Lutostański, zgodził się uprzejmie na scharakteryzowanie tego zagadnienia.

— Panie profesorze — rozpocynam swą orację w gabinecie dziekanatu wydziału prawnego na uniwersytecie warszawskim — czy nie zechciałby pan oświetlić nam sytuacji, w jakiej obecnie znajdujemy się w zakresie prawa małżeńskiego na ziemiach Rzeczypospolitej? Zdaje się, że jest ono bardzo różne na terytorjach dawnych dzielnic?

Prof Lutostański uśmiecha się.

— Różne? Różnice są takie, że wogóle porównywać ich nie można. Mamy trzy kodeksy cywilne, o dziedziczone po zaborcach, wszystkie przestarzałe. W prawie osobowym małżeńskim zaś różnice są kapitalne. Niemiecki kodeks cywilny, rozciągający się na Wielkopolskę, Śląsk i Pomorze, uznaje śluby cywilne obowiązkowe, to znaczy, że każdy musi stawić się przed urzędnikiem stanu cywilnego, z nim zawrze ślub w swoim kościele. Austriackie stare prawo małżeńskie uznaje jedynie śluby kościelne, zachowane w Małopolsce. W byłej Kongresówce wprowadzono od roku 1836 śluby kościelne, — jak wiadomo po długich walkach w sejmach królestwa, które broniły kodeksu Napoleona, uznanego za prawo polskie; Mikołaj jednak narzucił zasadę wyznaniową, a to w celach rusyfikacji i zrównania naszego prawodawstwa z rosyjskim...

— Z tego dziś wynika, że przenosząc się np. z Poznania do Warszawy lub odwrotnie, można być w niezgodzie z prawem, jeśli zawarło się w jednym mieście ślub tylko cywilny, a w drugim tylko kościelny? Dziecko, legalne w Poznaniu, jest nielegalne w Warszawie....

— Oczywiście, że mogą powstawać konflikty lub zawiłości. Szczególną samowolę do stosunków prawa małżeńskiego wprowadziła mikołajowska zasada wyznaniowa. Zasada wyznaniowa idzie bowiem w tym

kierunku, że zdolność do zawarcia małżeństwa ocenia się u poszczególnych obywateli, według ich przynależności do jakiegoś wyznania. Według jednych wyznań wolno się rozwodzić, według innych — nie. Zasada ta była wprowadzona w celach walki wyznaniowej, zwłaszcza, że uprzywilejowane było prawosławie...

— A obecnie wykorzystuje się tę okoliczność dla uzyskania rozwodu..

— Widzimy istotnie — potwierdza prof. Lutostański — tę konkurencję między wyznaniem i przeciąganie członków jednego kościoła do drugiego różnemi ułatwieniami. Przyczem grają rolę i najwyczejniejsze cele materialne. Dział nawet już niektóre gminy wyznaniowe utrudniają przyjmowanie nowych wyznawców, którzy wstępują tylko dla uzyskania rozwodu.

— Wypadków tych jest teraz bardzo wiele...

— Chaos powiększa fakt, że konflikty małżeńskie, np. skargi o rozwiązanie związku małżeńskiego sądzą sądy duchowne różnych wyznań. Kierują się w swem postępowaniu kodeksami duchownymi, więc prawem, stworzonym najczęściej poza Polską i wydanym przez władzę niepolską. Trudno te ich kompetencje pogodzić z suwerennością państwa. Sądy Konsystorskie nie liczą się z obowiązującym w państwie prawem cywilnym, które w rezultacie traktuje się *per non est*, — tak jakby go nie było. Każdy odpowie sobie łatwo, czy ten stan rzeczy zgadza się z powagą i suwerennością państwa?

— Uważa więc pan profesora za zasadę wyznaniową za niewłaściwą w prawie małżeńskim?

— Zasada ta sprawia — oświadcza prof. Lutostański, — że sądy wyznaniowe uważają się dziś np. za upoważnione do rozwiązywania małżeństw innych wyznań, lub po prostu uznają je za nieważne. Jest to conajmniej nieuporządkowanie tych spraw.

— Czy nie przewiduje pan profesor trudności przy przejściu z jurysdykcji duchownej do cywilnej?

— Trudności być mogą, chociaż nie tak wielkie. Władze duchowne liczą się z uprawnieniami państwa, z drugiej zaś strony państwo pozostawi Konsystorzom wszelką swobodę w wykonywaniu ich zakresu



działania i współdziałania z władzami państwowymi. Mam wrażenie, że z tej strony rzecz pójdzie gładko. Jest natomiast w społeczeństwie pewna zakorzeniona świadomość traktowania spraw małżeńskich na gruncie wyznaniowym. Wynikło to z naszych stosunków politycznych. Władze cywilne rosyjskie były obce, unikało ich się, jak się tylko dało — gdy w konsystorzach byli swoi...

— Jaką drogę uważa pan profesor za najlepszą dla uporządkowania tego chaosu?

— Moim zdaniem jedynie właściwą jest droga prawodawcza. Ze względu na dążenia unifikacyjne, konieczne jest uporządkowanie prawa małżeńskiego, nie zapomocą częściowej zmiany, ale należy stworzyć je od nowa. Częściowe zmiany, jakie proponowane były w sejmie, stanowiłyby usankcjonowanie dzieła mikołajewskiego, choćby w niektórych jego artykułach, gdy wszystkie one są sprzeczne z zasadami naszej konstytucji.

— Czy pan profesor może mi powiedzieć, jak będzie wyglądało nowe polskie prawo małżeńskie?

— Nie chciałbym mówić o szczegółach, które nie są jeszcze ustalone przez komisję kodyfikacyjną i niewiadomo, czy będą przyjęte przez Sejm. Co do zasad, jakimi kieruje się komisja w swych pracach — to na pierwszym planie oczywiście stawiamy, iż prawo małżeńskie musi być zgodne z konstytucją, musi stać na gruncie dostatecznego uznania suwerenności państwa i gwarantować swobodę wszystkich wyznań w wykonywaniu ich obrzędów.

Probuje wyjść poza te ogólniki i atakuję wręcz dyplomatyczną postawę autora projektu.

— Czy będą wprowadzone śluby cywilne?

— Rzecz tę wyobrażamy sobie w sposób, jaki praktykowany jest w innych państwach. Rejestracja związków małżeńskich należy niewątpliwie do władz cywilnych, które powinny ją prowadzić w porozumieniu z władzami duchownymi, jeśli te ostatnie udzielają ślubów wyznawcom swego kościoła.

— Czyli mniej więcej to, co jest dotąd w Wielkopolsce: małżeństwo cywilne, obowiązujące dla wszystkich obywateli, a niezależnie od tego ślub kościelny, zawierany wedle życzenia nowożeńców...

— Do polskiego prawa małżeńskiego chcielibyśmy wprowadzić kilka nowych, ważnych momentów, — ciągnie p. profesor Lutostański. Należy szczególniejszą opieką otoczyć słabszych, a więc przede wszystkim dzieci, przyczem państwo musi pamiętać o ochronie i prawach dziecka także w razie ewentualnego rozłączenia małżonków. Przewidujemy wprowadzenie przepisów dla ochrony rasy, czy to w zakresie zakazów przed zawarciem związku, czy nawet ustalenia ustania małżeństwa.

Dalej dążymy do wzmocnienia instytucji małżeństwa, jako podstawy życia państwowego i społecznego, troska o rodzinę musi być złożona w ręce obojga małżonków, a nie tylko męża, jak było dotąd...

— Dziś życie samo zmieniło te stosunki — pozwalam sobie na uwagę. — Prawie każda mężatka musi zarabiać na utrzymanie rodziny, bo zarobki mężczyźni nie wystarczają.

— To też powinno to być określone prawnie, iż udziałony i męża w utrzymaniu rodziny, w reprezentowaniu jej na zewnątrz ma być równomierny. — Jeszcze coś nowego pozatem! Dążymy do podniesienia momentu przygotowawczego do małżeństwa, a mianowicie okresu narzeczeństwa i nadania mu charakteru obowiązującego...

— Coś jak w Ameryce, gdzie niedotrzymanie prostej obietnicy małżeństwa może być ścigane sądownie...

— Może nie w tym stopniu, ale w wypadkach, gdzie przyrzeczenie zawarcia małżeństwa, jest stwierdzone, narzeczeństwo obowiązujące powinno pod rygorem prawnym.

— A... — rzucam najcięższe słowo — rozwody cywilne?

— Nie chciałbym się w tej sprawie definitywnie wypowiadać — odrzuca p. profesor Lutostański — stoimy na gruncie nierozważalności

ci związku małżeńskiego i nieulegania zbyt łatwo rozłączeniu...

— Ale bywają powody nadzwyczajnej wagi..

— W takich razach działać będą sądy, których orzeczenie oparte będzie na bardzo wąskich motywach. Jak w każdej zresztą sprawie sądy dążą przede wszystkim do pogodzenia stron...

— A gdy zgoda jest nie do osiągnięcia?

— Oczywiście, mogą być wypadki głębszego znaczenia, które należy traktować wyjątkowo. Wyjątków tych będziemy starali się stwarzać jak najmniej.

— Panie profesorze, czy długo czekać trzeba będzie na nowy polski kodeks małżeński?

— Świadomość nagłej potrzeby uregulowania prawa małżeńskiego na ziemiach polskich jest tak wielką nie tylko w rządzie, ale i w ciałach prawodawczych, że termin uchwalenia ustawy może być względnie niedługi. Prace szczegółowe komisji kodyfikacyjnej, mogą być ukończone w przeciągu paru miesięcy w podkomisji i w sekcjach, przez które mój projekt przejść musi. Projekt ten zaś opracowany w tem zamierzeniu, aby mógł być przyjęty przez ciała prawodawcze, jest bardzo kompromisowy — podkreśla z naciskiem p. prof. Lutostański — czy Sejm zdecyduje się uchwalenie tej ustawy przyspieszyć, będzie zależało niewątpliwie od nastrojów opinii publicznej w chwili, gdy projekt wpłynie do Sejmu.

Tak przedstawia się w zarysach projekt polskiego prawa małżeńskiego. Ma ono być według słów referenta wysoce kompromisowe, tak aby mogło pogodzić uprawnienia państwa ze swobodą wyznań religijnych, aby zadość czyniło zarówno tradycyjnym podstawom małżeństwa jak nowoczesnym pojęciom i koniecznościom życia współczesnego. Niewątpliwie, zadanie takie jest niezmiernie trudne lecz poważne prace, prowadzone w tym przedmiocie przez najznakomitszych uczonych prawników naszych, pozwalają wierzyć w szybkie urzeczywistnienie tej doniosłej reformy.

Jadwiga Krawczyńska.



# AKTUALNE ZAGADNIENIE WYCHOWAWCZE



isząc niedawno o zaletach i wadach mundurka szkolnego, poruszyłam między innymi potrzebę wyrobienia u młodzieży takich cech, jak skromność, duma, pewność siebie. Mając wtedy na oku cel główny, a mianowicie wykazanie, że mundurki są zwłaszcza w dzisiejszych warunkach rzeczą bardzo pożądaną, nie mogłam wdać się w bliższe rozpatrywanie wspomnianych cech. Dziś wracam do tej kwestji, bo uważam ją za pedagogicznie ważną i wielce aktualną.

Wszyscy zgodzą się zapewne ze mną, że młodzież powinna być skromna. Określenie to jednak jest bardzo ogólnikowe i wymaga bliższego porozumienia. Wiemy bowiem dobrze, jak często teoria odbiega od praktyki i jak z drugiej strony trudno wyznaczyć granicę między skromnością a nieskromnością. Na tym punkcie uwydatnia się szczególnie duża różnica zapatrywań ludzkich i duża skłonność do wpadania w przeciwne skrajności. Prowadzi to często do wyrobienia w młodzieży t. zw. fałszywej skromności, a co za tem idzie, do nieszczerości i obłudy.

Wczem objawia się skromność?

Literalnie we wszystkim: w ubraniu, w ruchach, w zachowaniu się, w sposobie mówienia, w pragnieniach i t. d.

Jak się objawia?

Tu zapewne rzemie się z zapatrywaniami wielu ludzi. Bo moim zdaniem skromnym jest człowiek, który właśnie zdaje sobie sprawę ze swojej wartości, ze swego stosunku do otoczenia — i do tych dwóch warunków umie się należycie dostosować.

Być może, że niejedyn, zastanowiwszy się chwilę nad moim określeniem, teoretycznie przyzna mi rację. Ale w praktyce żądamy innej skromności, żądamy, aby człowiek skromny udawał, że ma niższą wartość, aniżeli ma istotnie. Bez kwestji — dogadza to w pewien sposób naszej własnej próżności. Zawsze bowiem przyjemniej i wygodniej mieć do czynienia z kimś, kto swoją małością wypukła naszą wielkość. I możnaby sobie nawet pozwolić na takie przyjemne „qui pro quo” — gdyby to była zupełnie niewinna zabawa. Niestety, rodząca się stąd

obłuda ani nie ułatwia, ani nie upiększa naszego życia. Nie mam nigdy zaufania do takiej skromności i przekonuję się niejednokrotnie, że na jej dnie leży prawie zawsze duża doza zarozumiałości.

A zresztą — choćby nam się udało wpoić w młodzież zupełnie szczerę poczucie obniżonej wartości własnej, to dopiero powstanie pytanie: czy to jest pożądane.

Bo nie zapominajmy i o tem, że poczucie własnej wartości budzi zaufanie we własne siły, tę pewność siebie, bez której nie może być mowy ani o inicjatywie, ani o chęci działania. Zresztą uważam, że niema żadnej kolizji między właściwą pewnością siebie, a prawdziwą, szczerą skromnością.

Otóż dzisiejszej młodzieży, zarówno chłopcom, jak i dziewczętom brak tej prawdziwej skromności.

Przeceniają swoją wartość — zwłaszcza w stosunku do starszych, nie zdają sobie należycie sprawy ze swego stosunku do otoczenia, a co za tem idzie — nie umieją dostosować się do warunków i obowiązków życiowych.

Uderzmy się w piersi: sami jesteśmy temu winni. Złe rozumiane, czy też złe stosowane hasła „stulecia dziecka“, fałszywe teorie, czy też tylko fałszywe metody wybujałego indywidualizmu spaczyły nasz sposób patrzenia na młodzież jako na „małych ludzi“.

Zapomnieliśmy o kardynalnej prawdzie, że do życia trzeba przygotować, że jeśli młodzież nie ma da capo powtarzać wiekowych prób, wiekowych trudów i większych błędów, to trzeba ją uczyć, wychowywać, zaprawić do rygoru i dyscypliny.

A taki stosunek — stosunek ucznia do nauczyciela i wychowawcy musi być stosunkiem podporządkowania, bo inaczej dochodzimy do nonsensów, do pajdokracji, do lekceważenia wszystkiego i wszystkich, do panowania bomb i rewolwerów.

Młodzież musi to raz zrozumieć, że ani chłopcy, mimo klubów, matichów i dancingów, ani dziewczęta, mimo dekolców i pudru, mimo nieskosownych flirtów, na które niejedna matka patrzy z miłym pobłażaniem — nie są i nie mogą być równouprawnionymi, dorosłymi ludźmi.

Chciałabym, aby wszyscy nowomodni — czy też zbyt słabi — wycho-

wawcy, w pierwszym rzędzie matki — aby zrozumieli, że schlebając, czy też tylko zbyt pobłażając słabości młodzieży, oddając jej najgorszą przysługę.

Młodzieży nowoczesnej brak skromności, bo jej przewrócono w głowie, że jest dorosła, bo... Odważę się na użycie słowa, zupełnie z najnowszej pedagogiki wyganego: młodzieży naszej brak karności.

Zdaje mi się, że większość ludzi jest przekonana, iż między skromnością a poczuciem pewności siebie zachodzi stosunek wzajemnego wykluczania się. I nic dziwnego. Oba te pojęcia bowiem zostały do gruntu spaczone.

Hołdując szkodliwemu pojęciu fałszywej skromności, nie tylko szkodzimy prawdziwej skromności, ale nie doceniamy ważnego znaczenia wiary we własne siły, nie staramy się młodzieży tego wpoić. I oto ta młodzież tak pewna siebie, gdy chodzi o objawy braku szacunku i subordynacji w stosunku do starszych, traci zupełnie śmiałość i rozmach, gdy chodzi o samodzielną pracę i inicjatywę.

Jeśli porównamy naszego młodzieńca z młodym Amerykaninem, Anglikiem, Niemcem lub Francuzem, najbardziej charakterystyczną i przykrą różnicą będzie jego brak poczucia własnej siły.

Trzeba kołatać do serc i rozumów naszej młodzieży, trzeba budzić z uspienia jej siłę i zaufanie, rozmach i wytrwałość. Trzeba przykładem zachęcać i powtarzać bez końca, że w nich samych złożone są najcenniejsze zadatki szczęścia osobistego i wielkości narodu.

Niech fałszywie pojęta skromność nie przesłania nam tej prawdy, że tylko młodzież ambitna, pewna siebie i dumna może cośkolwiek w życiu zrobić.

Zbudźmy zarówno w chłopcach jak i dziewczętach gorące ukochanie pracy, radość życia i dumne poczucie, że być dziś młodym Polakiem, młodą Polką nie jest tylko twardym obowiązkiem, ale wielkim szczęściem i zaszczytem.

Starajmy się wychować młodzież skromną w poczuciu swoich praw, ale śmiałą i dumną w poczuciu swojej wartości i swoich obowiązków.

# TEODORA Z NARBUTTÓW MONCZUŃSKA

(Wspomnienie pośmiertne)

Od dłuższego czasu ubywa ktoś z szeregu uczestników powstania styczniowego. Znika pokolenie górnych lotów, wielkich haseł, ofiarności bezbrzeżnej. Znika szybko... Z ich zniknięciem milknie nawet tradycja o ówczesnych wielkich wysiłkach. Pozostają tylko imiona ludzi i niekiedy nowa, w wyobraźni pokoleń późniejszych wytworzona, legenda, nic wspólnego nie mająca z rzeczywistością przebrzmiała... Zapisujemy już dziś jedynie imiona ludzi, a ich czyny, nastroje epoki, duch, co ich ożywiało, obcemi są już dziś świadomości obecnych pokoleń. Bledną rysy postaci, które już odeszły... Z każdą z tych postaci gaśnie prawdziwa tradycja: nowe, dość poziome legendy, nie zastępują zamierającej prawdy.

Oto, w dniach ostatnich zamilkły na zawsze usta jednej z takich postaci, uczestniczki bojów, na Litwie, w powstaniu styczniowym. Zgasła w Krakowie, d. 27 marca b.r., Teodora z Narbuttów Monczuńska, córka Teodora Narbutta, znanego historyka Litwy, a siostra Ludwika Narbutta, który pierwszy na Litwie, po wybuchu styczniowym, podniósł sztandar powstania; podczas gdy jednocześnie na Żmudzi rozpoczęła walkę Bolesław Dłuski — znany pod nazwą Jabłonowskiego — i K. Mackiewicz... Ludwik Narbutt zamknął swój żój krwawą śmiercią bohaterską, pod Dubiszczami...

Teodora Monczuńska przyszła na świat d. 13 kwietnia 1839 r. (nowego stylu), w siedzibie ojcowskiej, w Szawrach, w Lidzkiem. Okolice Lidy od pięciu stuleci, gniazdem były Narbuttów, począwszy od owego praojca rodu, od Ostyka, który w Horodle ślubował, w r. r. 1413, wieczną unję z Polską. I ów praojciec Ostyków Narbuttów, i cały szereg pokoleń późniejszych, aż do

dnia naszych, pozostali wierni tej pierwszej unji horodelskiej, gdzie w pamiętnym akcie dziejowym ogłoszono słowa rycerstwa polskiego, urastające ponad swą epokę. Czytamy tam: „Niechaj więc jednoczą się z nami miłością i braterstwem, i staną się nam równymi... I przysięgamy im słowem czoł i przysięgi nie opuścić ich w żadnych przeciwnościach i niebezpieczeństwach“... I przysięga obu narodów wiernie była zachowywana.

Nie wygasał rycerski ród Ostyków-Narbuttów i całe stulecia wiernie wspólnej ojczyźnie służył... Nie widziano ich na senatorskiej ławie, ale w ziemskich urzędach, przede wszystkim w rycerskiej potrzebie, wciąż ich spotykano... Tak było aż do rozbiorów; i w epoce niewoli gorzał w ich piersi ogień dążności do niepodległości. W nią wierzyli, do niej dążyli; nic ich z tej drogi nie mogło odwołać... Wierzyła w nią, dążyła do niej, z całą prostotą i ofiarnością niezmierną naszych niewiast ówczesnych — Monczuńska, już wdowa, chociaż, jeszcze bardzo młoda. Należąc do organizacji narodowej, pracowała z gorliwością na polu niesienia pomocy walczącym. To, co czyniła ofiarnie, jako czyn zwyczajny życia codziennego, tego żadna kronika nie zapisała: pokolenia bowiem tamtoczesne nie pisały o sobie; siebie podczas bojów nie reklamowano... Usta tylko owych pokoleń opowiedzieć to mogły — one jednak, dłonią śmierci zamknięte, nic już nie powiedzą...

Była pani Teodora przez pewien czas adjutantem swego brata.

Ostatnim jej czynem bojowym to bytność w obozie oddziału brata pod Dubiszczami. Tam on ginie, tam giną przedniejsi jego towarzysze. Monczuńską wprawdzie

los ocalił od śmierci i niewoli, ale ścigana przez wroga, musiała opuścić zagon rodzinny. Szukała ocalenia w tak zwanej emigracji... Poza nią pozostały zgłiszczą życia rodzinnego. Patriarcha rodziny, stary ojciec, wkrótce zgasł; starszkę matkę wróg poprowadził na wygnanie. Życie emigracyjne łatwym nie było: wrodzona wszakże energia, wytrwałość w pracy niejedną przewyciężały trudność. W Paryżu i wogóle na obczyźnie, wśród spotykanych tam kół arystokracji polskiej, zdobywa uznanie; powierzają jej wychowywanie młodych dziewcząt. Ta praca daje jej możliwość zwiedzenia znacznej części Europy, od Paryża do Konstantynopola... Znużona pracą, stęskniona za ziemią rodzinną, wraca do dzielnicy, dostępnej wówczas dla emigrantów. Osiada w Krakowie. Ostatnie lat dwadzieścia tam spędziła, nie zrywając z pracą, budząc podziw swą energią, swym gorącym patriotyzmem... Witała świt odrodzenia niepodległości naszej z młodzieńcym niemal zapalem, pełną wiary, iż te mgły, co otaczają pierwsze lata po zmartwychwstaniu, wkrótce się rozwieją...

Jako zasłużona uczestniczka powstania styczniowego zaliczona została owa sędziwa weteranka do armii polskiej, w stopniu podporucznika i ozdobiona orderem Polonia restituta. Chowano więc ją z honorami wyjskowemi: orkiestra wojskowa poprzedzała kondukt, niesiono jej order, wojskowość otaczała trumnę, w której spoczywały zwłoki mężnej niewiasty, odziane w habit tercjarski...

Oby jej pamięć dobiegła do okolic jej rodzinnych, oby pamięć owej wielkiej miłośniczki ziemi ojczystej nigdy nad Niemnem i Wilją nie zagaśła.

Marjan Dubiecki.



# KSIĄŻKI NA PÓŁKACH

Wrażenia z międzynarodowej wystawy książki we Florencji.

(Koresp. wł. „Bluszcz”).

2

Pałac centralny:

Kilka największych sal zajęli Włosi. Przywieźli i pokazali wszystko, co mieli w dziedzinie księgarstwa. Ale właśnie dlatego nic o nich powiedzieć nie potrafię, jakże bowiem znaleźć wspólny miernik dla próbek — i wielkiego składu. Zauważyłam w każdym razie, iż wydawnictw luksusowych niema zupełnie, prócz albumów malarstwa.

Rumunja: Nie znam języka, więc nie powiem nic o treści książek. Wygląd ogólny dużej bardzo, niebrzydki udekorowanej sali, elegancki, zasobny, poważny.

Anglja: Ogromna hala, której nie starano się zdobić specjalnie. Po prostu urządzono ją wygodnie i ustawiono kilka bukietów, jak w prywatnej bibliotece zamożnego hom'u. Na pierwszym miejscu portrety pary królewskiej (oleodruki) oraz ogromna biblja.

Zgrupowanie łączy w sobie zasadę francuską i niemiecką. Książki naukowe specjalne rozdzielono według treści; beletrystykę, której jest bez liku — według firm wydawniczych. Warto zauważyć że przynajmniej  $\frac{2}{3}$  beletrystyki, a więc prawie połowę sal, zajmują książki dla młodzieży, w miłych, wesołych, zupełnie bezpretensjonalnych obwolutach na praktycznych okładkach z barwnego płótna. Osobne stoły uginają się pod książkami dla małych dzieci. Format albumowy, treść pełna wdzięku, rysunki skończenie artystyczne i swoście, czarująco miłe. Taka np. „Książka kołysanek”, albo „Książka godzin dnia dziecięcego” — to dzieła sztuki prawdziwie harmonizujące z arcydziełem bożem — dzieckiem.

Półki angielskie zdają się przemawiać spokojnie: Nic tu nie jest na pokaz. Nikogo się nie agituje. Założyło się chwilowo we Florencji dużą księgarnię — i koniec. Kto chce, popatrzy, pomyśli, kupi. Kto nie chce — tem gorzej dla niego.

Sala polska: (oglądałam ją umyślnie na końcu, żeby mieć tło dla wrażenia.) Niewielka, ale i nie mała, niewątpliwie po francuskiej najbardziej malownicza. Ale inaczej, bo na „ludowo”, aż do przesady. Batiki i kilimy są bardzo ładne, ale tym razem porozwieszano ich tak dużo, jakby się bano, że... książek

nie starczy. Na pierwszym planie fotografie Żeromskiego i Reymonta z podpisami, oraz ogromny portret Sienkiewicza — bez podpisu. „To prezydent Polski” — wnioskuje jakaś Angielka z Bedekerem i w rogowych okularach. „Daruje pani — objaśniam — to Sienkiewicz, autor „Quo Vadis” „Oh yes! Senkewisz; Quo Vadis!” cieszy się Angielka, jakby spotkała dobrego znajomego. Poczem długą chwilę w skupieniu przyjrząwszy się Sienkiewiczowi, rzuca się na Stryjeńską. Incydent z prezydentem — Sienkiewiczem jest nader dla polskiego potraktowania wystawy znamienny: żadnych objaśnień, mało napisów, żadnego podziału. Bardzo czarna i kędzierzawa panienska siedzi nieruchomo za bukietem irysów — i czyta.

Brak zupełny jakiegokolwiek klasyfikacji książek. Ani według treści, ani według wydawców. Kolejowy rozkład jazdy leży coprawda niezupełnie obok Lechonia, ale niedaleko i kompletnie „na tym samym poziomie”.

„Bluszcz” spotkałam, a także, na stole z pismami. Ze współpracownic „Bluszczu” widziałam p. Szuchową, a raczej jej „Szepty myszek”, estetycznie odbijające na tle naszych brzydkich książek dla dzieci.

Warszawskich firm księgarskich, jako takich, nie znać zupełnie. Ani

solidnego Gebethnera, ani płodnego Arcta, ani ruchliwego Ignisa. Gdzie indziej po jakiejś jednej książczyni. Z firm widać tylko p. Mortkowicza: cały Żeromski, ładnie oprawny. Cały Reymont. Pięknie zdobione karty Walgerza Wdałego po francusku. Norwid. Rysunki Skoczylasa i Stryjeńskiej, swojskie, swoiste, bardzo piękne.

Ogólne wrażenie: półki polskie chciałyby zaagitować widza i nawet mają czem, ale absolutnie nie potrafią, bo dają mu — bigos. Jest to coprawda niemniej narodowa potrawa, niż batik, ale przypuszczam, że zupełnie dla cudzoziemskich żołądków niestrawna. Wystawy zaś we Florencji nie robi się chyba pro domo sua?

Na zakończenie pozwolę sobie zauważyć (w formie żartu, jeśli inaczej nie wypada), że może zabawnie, ale niewątpliwie znamienne charakteryzują poszczególnych wystawców dwa drobne szczególności: sposób sprzedawania, a raczej zamawiania książek na wystawie, oraz... dyżurujące w pawilonach panienki.

Francuzi urządzili swą sprzedaż wygodnie i elegancko przy kilku stołach, zajmujących cały środek sali.

Niemcy porządnie, żeby nie przeszkadzać, w jednym, ale głównym kącie wystawy.

Anglicy — po prostu, bez filozofii; wszędzie, na każdym miejscu, gdyż każdy stolik jest ładny, każda półka — księgarnią.

Polacy — jakby z łaski. Zapewne na skutek jakiegoś szczególnie subtelnego przemyslenia, którego nie ośmielam się nazwać bezmyślnością.

Wreszcie — panienki: Francuzeczka śmigła, elegancka, zakrzęta koło gości.

Blond-Niemkini w ciężkich, czarnych butach siedzi uroczyście za stołem i trzyma pióro, niczem warząchem.

Angielka w okularach, wyblakła i sportowo-kraciasta, stoi i załatwia solidnie bussiness z tymi, którzy sami do niej podejają.

W polskiej sali, niedostępna i zasłonięta bukietem, siedzi nad książką czarna panienska o nieco semickim typie...

Koniec

Stanisława Kuszelewska.



# Nieznany autograf Narcyzy Żmichowskiej p. t. „Dwoiste Życie”

(Dokończenie)

## FANTAZJA KOBIETY, KTÓRA NIGDY NIE KOCHAŁA.

Nudno i zimno! — Pytałam jej, co mam robić na świecie? — ona, autorka pisać mi kazała. — Oh, doprawdy dziwne lekarstwo! spróbujmy jednak. — Niechaj myśl moja łamie się w czarne linje na białym papierze, niechaj słowa pragnień i marzeń, prawd wielkich i urojeń drobnuteczkich, nazwiska osób i rzeczy, wszystko to razem niechaj się maluje w owe dziwne poczwarki, literami zwane. — Śmieszne rzemiosło! głowa się napracuje, serce nacierpi, a potem ręka autorska z pracy i cierpień porobi pełno znaczków niekształtnych na tem, co było szmatą, lub prościej mówiąc, gałganem — a jak często palce się zwalają! — Osobliwa mikstura! wyteżony rozum, zadrażnione uczucie, atrament, papier, w następstwie jeszcze smolącej masy drukarskiej nieco, to się pomiędzy ludźmi „autorem” nazywa. Fe, ja nie chcę do tego cechu należeć. — Nie chcę, lecz czemu z nudów się wyleczę? — Ona przecież tak dawno już w bractwo literackie wpisana, a nie widać jakoś po niej, żeby w sto lat się rozwłóczyła, żeby powietrze cięższe było, lub przestrzeń ciemniejsza. Może to rzeczywiście skuteczna bardzo kuracja. — Więc piszmy. — Byle nie o nauce żadnej. — Przerzuciłam właśnie pełno dzieł mądrych i poważnych, kilka libr papieru na wypisy zepsułam, a w końcu — do pamięci wiele przybyło szczegółów. — Do głowy ani jedna myśl mi nie przybyła.

Nawet nie wiem, co z tą mnogością wiadomości zrobić. — Gdyby w naszym salonie rozpowszechnił kto zwyczaj uczonych rozpraw, zdałyby się czasem na ożywienie „konwersacji”. Adolf, chociaż miał trzech guwernerów zwykle: Francuza, Niemca i Anglika, chociaż do Szwajcarii na wykończenie edukacji swojej jeździł, chociaż rok za rok przez lat kilkanaście za tysiąc dukatów kupowano mu u różnych ludzi rozumu, taki ma wstręt do niego, tak go znajduje śmiesznym „mauvais genre” i nieprzywoitym, że nawet pozorom jego do domu wcisnąć się nie pozwala. — Każda kobieta, w jakim bądź celu zajmująca się książkami jest dla niego najnieznośniejszą pedantką; tak już zdołał tem przekonaniem matkę naszą natchnąć, że tylko ochmistryniom i nauczycielkom wolno jest coś umieć. My bogatsi dla mody jedynie, dla wsparcia zresztą potrzebniejszych, uczymy się trochę od nich, lecz to uczenie skuteczne, czy bezskuteczne może łatwo na dalsze potrzeby życia wystarczyć — jest dopełnieniem pewnego towarzyskiego wymagania, zresztą niczem więcej. — Gdyby nawet czems było, toby go nawet nigdy okazać nie wypadało. — Ja się też z nabytkami moimi ukrywam pilnie, jak srocza z pierścionkiem brylantowym, najniepotrzebniejszą dla siebie samej kradzieżą. — Oh, Jezu Chryste! coby też to się działo, gdyby mi pani referendarzowa np. pochwyciła z jakim technicznym z chemji

lub fizyki wyrazem na ustach! a pan szambelan, coby powiedział, gdybym mu historyczny fakt jaki, dajmy na to o dziadku jego przytoczyła? A państwo Mroczkowsy, coby zrobili, gdybym w ich przytomności owe podwójnie niezrozumiałe słowo „estetyka” wymówiła? Oto by mię wszyscy ukamienowali dowcipami swojemi — oto by mię zamurowali w przybytku osobliwości i dziwactwa, oto jako dla nowego Pauzanjasza, rodzona matka pewno pierwszą do tej roboty podałyby cegielkę — a drzwi raz tylko przywarte — nikt by ich pewno wybijać nie przyszedł i musiałabym starą panną zostać. — Patronie milczenia, brońże ust moich — Święty Józefie strzeż pamięci mojej, niech mi z niej nigdy żadne zdradliwe słówko głośsem pomiędzy ludzi nie ucieknie, Oh! bo ja też nie dla nich wcale do nauk się wzięłam. — Wszehświat mię zaciekawił, myślałam, że książki tajemnicę jego wypowiedzą — ej! gdzież tam wypowiedziały! — Jedna pisze tak, druga w temże miejscu nie — trzecia ani tak ani nie, czwarta i tak i nie. Trochę więcej w głowie szumu, w sercu niespokojności. — Najmędrsi powiedzieli mi wprawdzie, czem jest wszystko tak, a nie inaczej; filozofowie objaśnili mi wprawdzie, logicznie rozwijającą się koniecznością — pobożni dopuszczeniem woli Pana Boga — ale jak się pytałam filozofów: dla czego —

Z autografu wydała

Z. Szmydtowa

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

## ŚWIAT KOBIECY

CZEŚĆ II.

3

— Moja Matko! moja najdroższa matko! powiedz mi, co jest tej mojej Basi? — ona mi w oczach niknie — jest ciągle zapłakana? — Ty, jako kobieta, może odgadniesz ją łatwiej?...

— I i i — co jej ma być? — nic jej nie jest! — Warszawianka nudzi

sie na wsi — roześmiała się tym sztucznym, przykrym swoim śmiechem. — Poradź jej, żeby się czem zajęła, to będzie zdrowa i wesoła. Choćby dla oka ludzkiego... chyba to jest, między nami mówiąc, po prostu nieprzywoite, żeby synowa grała rolę damy salono-

wej, zawsze tylko przy fortepianie — a stara matka całe gospodarstwo i dom na swoich barkach dźwiga. Ja od piątej latem i zimą jestem na nogach — to mi zdrowa!

— Pozwólcie mi słówko dorzucić — z miłym uśmiechem wtrąciła



się jakaś starsza krewna, bawiąca w gościnie — Basia jest w poważnym stanie, kobieta wtedy zawsze jest bardzo zdenerwowana i z igły robi widły — coś jej się zdaje — jest ofiarą tysiącznych urojeń...

— Ach tak! — tak jest napewno... życie mi ciotka wróciła, zawołał Józef, całując jej ręce...

Uspokoił się zupełnie. Basia pod wpływem odmiennego stanu uroiła sobie, że matka ją nienawidzi i że ją prześladowuje.

„Biedne dziecko!”

\* \* \*

— Proszę pana! — proszę pana!... pielęgniarka przytrzymała go za poję — nie można tak raptem wchodzić do pani — jest taka słabiutka! — i wielka radość w tym stanie może zaszkodzić. Ona się tak modliła, żeby pan przyjechał! Muszę ją pierwszej przygotować.

Telegram „B a s i a c h o r a” złapał go dopiero aż w Wiedniu. „Chora” tak zawsze mówią telegramy... a to może znaczyć również dobrze, że już jej na świecie nie ma! Leciał więc, śmierć mając w duszy... Słowa pielęgniarki uspokoiły go nieco: żyje przynajmniej — odetchnął i usiadł.

— Co jest? — poroniła?

— Nie, proszę pana — choroba nie ma nic wspólnego z ciążą. Doktor wynajduje straszne wyczerpanie nerwowe — wycieńczenie całego organizmu — i niestety jest gorączka!

Ach, proszę łaski pana! — złożyła błagalnie przed nim ręce młoda, sympatyczna kobiecina — tu się stało jeszcze coś bardzo niedobrego!... okropna dla pana przykreść... Ale ja odpowiedzialności za to na siebie nie biorę... proszę się na mnie nie gniewać... ja tu nic nie jestem winna — robiłam, co mogłam, aby do tego nie dopuścić — perswadowałam, prosiłam, tłumaczyłam... na nic! Nie pozwolić — nie miałam na to władzy. Kto to może się sprzeciwiać pani starszej? — Jej się nikt nie oprze! Ja nie mam pojęcia, dlaczego pani starsza tak się przy tem uparła: obciąć i obciąć! — „położnicom — powiada — zawsze się włosy obcina”. Najsamprzód to nie prawda, my się umiemy z największemi w pogoju warokoczami obchodzić — A potem żadnej tu położnicy nie było — na poronienie się nie zanosilo! A pani starsza, jak tupnie nogą. „Co mię będziesz rozumu uczyła! ja wiem, co mówię.” Miała jakieś uprzedzenie — proszę pana — nic innego, tylko zabobon! że organizm się na włosy wysila — z tego chudość, osłabienie i choroba... Weszła do pokoju chorej wieczorem z temi dwoma herodami, co z nią zawsze

chodzą, przyniosła jakieś wielkie nożyce, ostre, jak brzytwa — chlast! — i za jednym razem obcięła włosy młodej pani.

— Włosy? — mojej żonie? — moja matka?!... co mi tu pani takiego gadasz?...

— A tak, proszę pana — wskazała ręką na drzwi — za chwilę pan tam wejdzie i sam zobaczy... Te cudowne panine włosy! ten złoty płaszcz królewski, padł od nożyc na ziemię... Ażem zapłakała!... Podniosłam go z ziemi jak relikwię i chciałam schować. Ale pani starsza wydarła mi i w piec!

Obcięcie Basi włosów zaskoczyło go tak, że przez kilka minut był jak pijany... nie mógł zrozumieć?

— I młoda pani pozwoliła na to?

— A bo jej się tam o pozwolenie pytali! Płakało biedactwo... wypraszało się... Ale taka słabiutka, taka zbołała, nie widząc z nikąd ratunku, zamknęła oczy i dała ze sobą zrobić, co chcieli...

— A niechże was wszyscy diabli!... A niech was jasne pioruny zatrzaska! Wolalbym, żeby mi był przepadł cały majątek!

Runął jak burza do salonu, a ujrzawszy matkę, wchodzącą drugimi drzwiami, chwycił ogromną serwską wazę i kropnął jej pod nogi. Stara krzyknęła i upadła. Do tej wazy oprócz jej realnej kosztowności przywiązane były jeszcze jakieś wspomnienia. Stara własnoręcznie obcierała ją z kurzu chusteczką.

— Dajcie mi tutaj te dwie wiedźmy! Niech ja choć na nich użyję! Jak im dobrze ślepią popodbijam, to na drugi raz nie będą takie wierne i gorliwe.

Latał po całym dworze, jak byk ranny po arenie, szukając swoich delikwentek, a ujrzawszy je przez okno przy łóżku matki, wpadł do pokoju i zbił na kwaśne jabłko: Ciocię Femcię i Brygisię...

Potem usiadł na progu Basinego pokoju i płakał... Nie miał odwagi wejść i zobaczyć ją bez włosów... bo to przecież trzeba być wesołym... trzeba całą tę sprawę zlekceważyć... aby jej nie dolać oliwy do ognia.

Obie miał za anioły — obie kochał nad życie i matkę i żonę — a nie mógł oto pójść ani do jednej, ani do drugiej. Gorzko się

uśmiechnął — i osiodławszy sobie najostrzejszego wierzchowca, pognał w pole...

Nazajutrz rano Stara ledwie podniosła się z pościeli i siedząc na łóżku odmawiała różaniec (jej gwardja przyboczna, haniebnie pokiereszowana: Ciocia Femcia i Brygisia spały w jej pokoju na kanapkach, podobniejsze do potworów, niż do ludzi — pani sama robiła im przez całą noc okłady) gdy stary Jędrzej wniósł na tacy list od „p a n a.”

Mamó!

Wezwałem telegraficznie Lucjana — dosyć mu już tego Paryża — jest także synem — niechże on teraz zamieszka z mamą i prowadzi mamine i swoje interesa majątkowe. Po jego przybyciu natychmiast zabieram żonę i przenoszę się do osobistej mojej, po ojcu przypadającej mi Wiszenki. — Nim Lucjan zjedzie, niech mama wezwie sobie kogoś, do kogo ma zaufanie, aby mnie tymczasem wyręczył, gdyż ja w żadnym razie, żeby tam świat się walił, na krok się z domu nie ruszę od Basi. Mama jej teraz włosy ucięła, czy ja wiem, co mamie jutro może przyjść do głowy? — może jej mama każe oczy powykłówać?

Ja nie wątpię, że mama zrobiła to przez troskliwość o nią, wierzę, że intencje mamine są najczystsze i najlepsze... ale, kochana mamó dobre mi chęciami jest, jak wiadomo, piekło brukowane... Despotyzm miłości jest także despotyzmem. Myślałem się, że go lekceważył — dla mnie on był despotyzmem operetkowym — bo ja jestem mężczyzną — i jak mama zaczynała naprawdę zabierać się do mnie — no, tom się nie dał! — i basta. Jeszcze w szkole umiałem stanąć okoniem...

Ale taka Basia to jest gołąb! — to jest roślina — to jest dziecko. To nie umie obstać za sobą! Ja więc muszę dać jej dom własny, gdzieby ją otaczali mnie wierni, mnie oddani, moi ludzie. Muszę sprowadzić jakąś jej krewną i jakąś damę do towarzystwa, które będą nad nią czuwać, ale nie będą jej swoją wolą przytłaczać.

Ja do mamy nie przyjdę pierwszej, aż mojej Basi włosy odrosną tak wielkie, jak te, które mama obcięła. Bo wtenczas dopie o zgaśnięcie ten straszny żal, jaki mam do mamy.

Józef.

Stara Topolska była w tej chwili wspaniała, jak Niobe — gestem kląsycznym podniosła ręce w górę.

(c. d. n)



JULJA DICKSTEINÓWNA

## R U S A Ł K A

(motyw. ludowy)

Nad krynicą przejrzystą, iskrzącą  
kropelkami srebrnymi w południe  
rusałki płąsy wiodą, korowody,  
rączek klaskaniem i stopkami mącą,  
kryształne wody,  
i śpiewają cudnie,  
śpiewają cudnie,  
dziewczęce rusalki w koszulkach białych,  
młode, urodne  
panienki wodne.

Rusaleczka najmłodsza włos złoty  
czesze kędyś u młyna, u młyna. —  
Szumi woda i łśni się i pieni,  
rusaleczka pieśń śpiewa tęsknoty...  
prośszy śniegim czeremcha, kalina  
koralami się wdzięczy w zieleni,  
rusaleczka włos złoty upina:  
„Siostry moje, daremnie wołacie,  
nie mnie dzielić dziś wasze swawole;  
nawspak słońcu posępne sny roję.  
Huczy woda u młyna, u młyna, —  
Mieszka dziadek gołąbek w tej chacie,  
wnuczę przy nim, królewskie pacholę.  
Wybiegałam na wodę, na zdroje,  
Hej, kusiłam w perłowe odmęty,  
Wszystkie piosnki śpiewałam mu moje,  
nie chciał słuchać człowieczy syn, śmiałek.

Huczy woda, oj huczy przy młynie,  
narwę srebrnych stokrotek do wianka,  
będę wołać, a nęcić młodzianka,  
może wreszcie da posłuch dziewczynie.  
Oh, rusalka! — Nie poznał niebogi,  
że za życia mu była kochaniem,  
i nie było dalekiej mu drogi,  
czarną nocą ni szarem świtaniem,  
do sierocej jej chatki u rzeki.

Niechaj za mnie dziś płacze ta brzoźka,  
rusaleczka ja ścichła po wieki.  
Sióstr korowód na fali się pluska,  
maje serce zostało u brzega.

Kiedy stopka się dosyć nabiega,  
modra łątka się waży na trzcinie,  
cud-dziewanna kielichy rozchyła,  
chmurka żagleń na błękit wypłynie,  
gdy w nurt patrzą brodate mchy z drzewa,  
rzeka siatką srebrzystą nadziewa,  
ja tzy sieję, ja bożka, ja wila.

Siostry moje, beztroskie, radosne;  
każda ludzki śmiech w żale przemienia,  
nienawidzą żywego plemienia,  
gaszą rade chłopięcych lat wiosnę.  
Spuszczą wila zielone warkocze,  
kołysana w zielonych szum liści,  
śpiewa, kusi, aż w zgon załaskocze ..  
z ludzkich serc rośnie kwiat nienawiści.

O, lecz kiedyś ta walka z przed wieka  
kusicielek się skończy porażką,  
tędzie ziemia królestwem człowieka,  
my snem wiotkim, spominką, igraszką.  
Porodzone z tej rzeki, z tej niwy,  
uśmiech ziemi i wab i westchnienie,  
ustąpimy, topniejąc, prawdziwej  
zimnej wierze, — pęd dni nas odżenie.  
Może kiedyś, gdy baśń się odprzędzie,  
oniemieją jeziora i drzewa,  
z żalu człowiek wystruga narzędzie,  
co się samo w głos bożek rozśpiewa.

Powiedz, powiedz, niedobry człowiecze,  
jest liś synem tej samej przyrody?  
czemu nama przymierza w nawieczu  
nie zadziergać, lecz toczyć zawody?  
czemu nama ten rozbrat wzajemny  
musi serca oszpecać i dalić?  
my was kusić od życia—ród ziemny,  
a wy w duchach się wróżbą nam palić?”

Huczy woda u młyna, u młyna,  
słuchać jasne śpiewanie rusalek,  
a najmłodsza włos złoty upina.

Patrzy — słucha — i tonie w głęb śmiałek.

Nad krynicą przejrzystą, iskrzącą  
kropelkami srebrnymi w południe,  
znowu cisza błękitnej pogody.

Rusalki śpiewem i stopkami mącą  
kryształne wody,  
i śpiewają cudnie,  
śpiewają swoje zabójcze pienia,  
dziewczęce rusalki w koszulkach białych,  
młode, urodne  
panienki wodne,  
kusicielki ludzkiego plemienia.

J U L J U S Z W I R S K I

3

## IDYLLA NA ARKTYKU



Chwały pierwotny czar elementarnych sił przyrody świętował gody niesłychane, w zakątku niedawno cichym wrzało życie bujne, radosne niepoahamowane.

Piotr kochał te momenty całą pierwotną potęgą swej duszy, oto za kilka dni stanie się to wszystko jawą. Już słycać w otchłani nocy groźne chrapanie reniego samca. Po stalowo-czarnej płaszczyźnie mokrego śniegu przemknął cień czarnego lisa-mordercy. Piotr machnął lekceważąco ręką — pokój tobie! Skoro wiosna idzie nikt nie będzie godził na twoje nędzne, leniujące futro, ani pozabawiał świat twego ślicznego potomstwa. Święte jest prawo wiosny, i miłości, a tundra mści się krwawo za jego złamanie. Zwierzęta i ryby, ptaki i pletwonogie, wy, co jesteście i wy, co przybyć macie — człowiek, jedyny wasz śmiertelny wróg ogłasza wam: Treuga Deil! Lźbyście się mogły radować i mnożyć, upajać miłością i chwalić Pana nad Pany całą swą przenajprostsza uciechą.

W tej chwili rozmyślanie przerwał mu potworny łoskot od strony morza, jakby kto skalistą powłokę ziemi rozparł jednym szarpnięciem tytanicznej furji. To główna tafła lodu pękła na dwoje pod naciskiem innych brył i przybierającej wody! Runął w górę słup wody. Dało się słyszeć charakterystyczne tarcie i skrzywienie dwóch złomów lodowych, kołysanych falą. „Już, już!” zakrzyknęło nagłą radością w sercu Piotrowem. Zachłysnął się wielkiem, dziecięcym szczęściem. Jednocześnie poczuł raptowny przypływ sił i energii; — wiosna idzie hej, — miły Boże! Wrócił do chaty, gwizdnął na jednego z psów i, z toporem tylko za pasem, poszedł w budzącą się pustynię śniegów.

Nie szedł tym razem zabijać, jeno gwoli wewnętrznej potrzeby ruchu, gwoli zbycia nagromadzonych skrzętnie czasu zimy sił! Nie szedł, a biegł płaską, zda się bezkresną równiną, poprzerywaną tu i owdzie nierównymi ścianami skał. Rozpierała go własna moc, szalone poczucie tężyzny mięśni. Twardo, zawadjacko, mocarnie kuły młode nogi w skorupę śniegu.

Przeżyły się bezwiednie ramiona i rytmicznie wznosiła na schwał

sklepiona pierś. Łakomie i nienasyconie piły potężne płuca mroźne, wilgotne powietrze.

Jak wszystkie dzwony świata huczała w tętnicach młoda, szalona krew. Biło serce, łomotało w pośpiechu rytmicznym... Upoilo go to wędrowanie!

Zapomniał na krótką chwilę o swej samotności, o dobrowolnym, wiekustem wygnaniu. Szedł do niej, do swego złotowłosego zdarzenia z polskich pól... Za chwilę oto dojdzie i runie w pośpiechu szczęsnym do maleńkich stóp...

Wypowie wszystko niewypowiedziane długim, jak wieczność przywarciem ust. Snem się okaże to wszystko, co było i to wrażliwie dziesięciolecie w krainie wieczystych lodów... Jak tępe brzuszce noża przejechał zagnała po sercu podstępny ból ocknienia. Opadły gdzieś w otchłań postrzępione przez mękę radość i energię!

Jak łachman obwisła cała junacka moc...

Piotr równemi nogami zarył się w zaspę śnieżną i stanął w miejscu. — Kędyż to idziesz, głupcze — mruknął do siebie. Toż noc pusta i ta, psiakrew — ziemia!

Zal nagły schwycił za gardziel i co dotąd było znośne, stało się w jednej chwili nie do zniesienia. Z wściekłością począł bić kutemi obcasami w ten śnieg i ziemię pod śniegiem za to, że taka pusta, taka sobacza i taka niepolska „ścierwo”, nie ziemia! — nawet poskarżyć się nie można... I w tym już momencie zawrócił jak i stał z powrotem do chaty.

Na krótką radość duszy legła znów codzienna, nieustępliwa, zła troska. Wyczerpany intensywnością ruchu i przeżyć padł na posłanie z mchów i futer i w okamgnieniu zasnął.

Czarodziejstwem snu, odruchem podświadomych drgnień pamięci przeniósł się w kraj wczesnej młodości. Spętana łańcuchami niewoli, przeboleśnie rozdarta i upokarzana na każdym kroku spała jego ziemia, osnuta mgłą zadumy i melancholji. W upalnym słońcu lata i metalowo chłodnym zimy była zawsze jednako cicha, senna i jakoś bezwiednie, a nieustannie pracowita. Oto zielenią się i złoścą szerokie równie mazowieckie, zrzadka urozmaicane zagajnikami,

lub ukrytemi w zieleni sadów wioszczynami.

Pachnie dojrzewającymi ziołami, zbożem i miodem. Ciepły wiatr szwędą się tu i tam jak znarowiony pies i wilgotnym językiem muska twarz.

Pokrzykują na łące derkacze, nawołują się w zbożu miłośnie przepiórki, niezmordowanie krążą czarne błyskawice jaskółek. Piazczy sta droga, niby złota rzeka legła pomiędzy łąkami a polem i w skętałach kapryśnych prowadzi wprost do białego dworu. Dwór jest stary, przeszło stuletni i cały ukryty w gęstwie jaśminów, bżów, w świecznikach malw, słoneczników, w kępach magnolji i caprifolium. Piotr idzie boczną, wydeptaną na twardo, ścieżką piaszczystej drogi i szuka pewnych maleńkich śladów, istnych żarcików ludzkiej stopy, prawdziwych dokumentów, że niesłychany cud istnieje rzeczywiście. Dojrzał nagle tu i jeszcze tu i o parę kroków dalej, już zupełnie wyraźnie. W pewnym miejscu ślad mocniej wycisnął się na miękkiej warstwie. Końce stóp — zwłaszcza były pogłębione silniej, jakgdyby schylała się w tem miejscu po kwiat. Dalej znów lekkie, ledwo znaczone w powiewnym, miłosiernem dotykaniu ziemi. A teraz zatarły się prawie całkowicie. Zawiał je piaskiem wiatr, jak rzecz obojętną i bez wagi, choć były to ślady wcielonego piękna, krótczego tanecznie po świętem łonie ziemi.

Cichy zal wybuchł nagle bez udziału woli i zaszlochał skargą w najtajniejszych zawrotach duszy. Śni się dalej sen, co może kiedyś był rzeczywistością, a może jedynie tak żarliwym pragnieniem serca, że już dziś od rzeczy istotnie przeżytych oddzielić się nie da.

Coraz bliżej jest stary dwór, także staje się widoczny niewielki sad z prawej strony i rubinowe pączki dojrziałych czereśni. Minał ogrodenie, obszedł mały klomb, wchodzi na ganek. Stary Łukasz, sługa, co to jeszcze z nieboszczykiem jaśniepanem na Moskala chadzał, wita go mądrym, życzliwym uśmiechem. „Dawno już panicz nie był”, — mówił poufale i wraz przechytrym uśmiechem dodaje: — „panienka to jest chyba w sadzie przy wiśniach”. Łukasz bowiem nie uznaje czereśni. Pan Bóg stworzył wiśnie na pociechę wzroku i podniebienia,

a czereśnie to już wynalazek tych farmazonów ogrodników. Bóg jest najlepszym ogrodnikiem i wie, jak co nazwać. Panicz z pełną szacunku niecierpliwością przerywa gadaliwość staruszka i przez sień przechodzi na drugą stronę domu do szumnie zwanego sadu. Istotnie panienska jest przy „wiśniach”. Całe rączki ma w rubinowym soku, fartuszek w plamach, usteczka i buzię też. Śmiejąc się serdecznie, wyciąga doń ręce, pełne ślicznego, soczystego owocu. On dłużej całuje małe rączki, przyczem przezabawnie wala usta i czubek nosa sokiem. Śmieją się teraz oboje, a ona obciera mu twarz rogiem fartuszka, który jakimś cudem pozostał bez plamy. Siadają na ławce brzozonej w milczeniu, w którym płacze wielkie szczęście i słonecznie raduje się serdeczna ufność. Piotr pochłania oczami ten obraz, pije go duszą całą, sercem stara się zapamiętać każdy szczegół. Trzeba wziąć mocno i osiąść głęboko, całkowicie ten sad i złote słońce i woń miodną i soczysty szkarłat czereśni i ten cud nad cudami — jej drobna, jasna postać. Trzeba to osiąść doszczętnie i rzetelnie i jak sakrament piękna ponieść ze sobą przez całe długie życie, jako rzecz, co się raz jeden dzieje i już nigdy nie powtarza. Tak przedziwnie śni się ten sen, co jest inkarnacją wszystkich młodzieńczych tęsknot najdoskonalszym wyrazem samotnych marzeń o szczęściu. Tak przedziwnie spełnia się nieucieleśnione nigdy marzenie o pięknie i pełni życia w słońcu. Dusza w uniesieniu wdzięczności bez granic składa białe ręce i szuka Boga i nie modli się już, bo cała jest jedną dziękczynną modlitwą.

Obudził się dopiero wtedy, kiedy już słońce było wysoko i mocno grzało. Na ustach miał posmak snu i w sercu śpiewał mu ten sen tęczowymi barwami szczęścia.

Pierwszą jego myślą było zobaczyć, co też się dzieje na świecie. A działy się tam istne cuda! — Pokryte lodem i śniegiem skały płonęły w słońcu całą gamą rubinów, topazów, szmaragdów i opali; topniejący na powierzchni śnieg przelewał się brylantową strugą, skrzył każdą kroplą, załamywał po

wielokroć w niespodziewanych efektach kaskady światła; powietrze skrzyło się od tych ogni i blasków i było przezyste, świeże i wonne, jak młoda radość życia. Stanowczo czas najwyższy, aby jechać. Piotr z ochoczą skwapliwością powyciągał dawniej narządzone sianie i uprząż i począł je ładować z rozważnym pośpiechem. Wiele jeszcze czasu upłynie, zanim śnieg stopnieje doszczętnie, nim wypije go chciwie tundra i pochłonie nigdy niesyte morze. Musi w tym czasie załatwić wszystko, aby zdążyć zanim droga stanie się do nieprzebycia dla renów i sań. Był już wieczór, kiedy wszedł do zagrody, gdzie stały reny. Na cały świat dookoły kładły się mocne, głębokie tony fioletu i dziwnie barwiły grzbiety i delikatne chrapy zwierząt. Chwilę stał zapatrzony w pożogę konającego dnia, poczem jąl wyprowadzać zwierzęta, zapręgając je po trzy jedno za drugim do małych, ale ładownych sani. Wrócił jeszcze do chaty, wziął strzelbę, proch i kule, zamknął psy, zostawiwszy w śniegu jedzenia na trzy dni, starannie zamknął domostwo i ruszył równym, pośpiesznym kłusem. Miał do przebycia pięćdziesiąt kilometrów w kierunku wschodnim, drogę, wymagającą czterech do pięciu godzin z pustymi saniami, a zabierającą dwa razy tyle czasu przy saniach z ładunkiem. Dzień dogorywał na zachodzie, płonął jaskrawą łuną, a na północy ukazały się pierwsze migotliwe gwiazdy. Kierując się ich drżącym poblaskiem i własną pamięcią, sunął równo i dość szybko po gładkiej powierzchni bezdrożnej tundry. Gdzieniegdzie skała dziwaczna, lub nieoczekiwane załamanie gruntu, wskazywały kierunek. Piotr z zadowoleniem wyjął woreczek z tytoniem, nabił fajkę i zaciągnął się rozkosznie. Popatrzał na dym, ale dym unosił się spokojnie, spędzany na stronę jedynie pędem powietrza, wywołanym przez jazdę. Spojrzał na niebo — było czyste, ciemno-szafirowe i jarzyło się gwiazdami. „Nie będzie mgły” — zdecydował z ulgą wewnętrzną.

W pasie bowiem przybiegunowym, często, nawet w czasie najcięższych mrozów, niebo i ziemia

cała osnuwa się mgłą gęstą, nieprzenikliwą. Jest to prawdziwa kłęska dla myśliwego, lub podróżującego, gdyż wtedy wszelka orientacja co do kierunku drogi staje się niemożliwa. Zwłaszcza, że wskutek nagromadzenia pary wodnej wszystkie przedmioty nabierają kształtów i wielkości wprost niesamowitej. — Mały kamień na drodze dzięki złudzeniu optycznemu staje się nagle olbrzymią górą, przelatujący ptak wydaje się jakimś potworem wielkości wieloryba, mały kawałek drzewa, lub karłowata roślina wyrastają do rozmiarów wprost gigantycznych. Obecnie jednak nic nie zapowiadało zmiany pogody. Piotr, umieszczony w przednich sankach, połączonych z następnymi krótką i mocną linką, mógł widzieć w odległości dwóch kilometrów całą przestrzeń, każde jej załamanie, każdy szczegół, zapamiętany dokładnie jeszcze z poprzednich podróży. Oparłszy strzelbę o kolana trzaskał od czasu do czasu długim, rzemiennym batem i jechał ostro, o ile na to pozwalał ciężar wiezionego na sprzedaz ładunku. W pewnej chwili uczuł mocny, zdrowy głód, przeto sięgnął do zapasów suszonego w dymie mięsa i prasowanego chleba, pozostałego jeszcze z zeszłorocznych zakopów. W butelce skórzanej zabulgotała rozkosznie mocna angielska wódka, więc złożył jej należyty hołd, poczem uczuł miłe, jędrne ciepło w całym organizmie. Na północy, kto może używać tranu, lub słoniny w wielkich ilościach musi uciekać się do pomocy alkoholu, jako jedyne go środka wytworzenia ciepła w dostatecznej ilości. Piotr fizycznie zdrowy, potężny, zażywał jednego i drugiego w miarę z mądrą zabiegliwością doświadczonego człowieka. Wraz poczuł senność i zdrowe znużenie więc, zaspokoiwszy głód i pragnienie, powrócił do fajki, nabitej mocno angielską prymką. Nie wolno było pod groźą zbłąkania i zmarnięcia zasnąć ani na chwilę.

Kiedy senność stała się już zupełnie nie do zwalczania wyskoczył z sań i schwyciwszy przygarść śniegu mocno natarł twarz i skroń. Jakiś czas biegł równolegle z renami.

(c. d. n.)



W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

10

## ZATRZYMANY ZEGAR

(p o w i e ś ć)

— Żebyś ty raz wyzbyła się tej egzaltacji! — zabrzmiał donośny głos „ciotki rodu“ przy akompaniamencie stukania laską, jak zawsze w chwilach, gdy zrzędna ta osoba czuła się podniecona. — Przynajmniej teraz, kiedy wiesz sama, że to już nie przelewki, mogłabyś zdobyć się na odrobinę zdrowego rozsądku!

— Odpowiedź matki stłumiły drzwi zamknięte. Wydało mi się jednak, że głos brzmi niemal błagalnie.

— Uf! — sapała znowu ciotka Klimontowska. — Jak ja nie lubię takich scen; — Po co te wszystkie słowa? Przecież jej na bruk nie wyrzucę, ani z niej pomywaczki zrobić nie myślę. Z głodu tutaj nie umrze, nie bój się. Cóż to, zła taka jestem, krzywdy w moim domu kiedy zaznałaś, że ciągle z tem sercem wyjeżdżasz? Cóż to, może ja serca nie mam? Dzieci własnych nie dochowałam się, a przecież muszę o kimś myśleć. Taka już głupia natura ludzka... Pewnie, że na kolanach dzieciaków sadzać nie lubię, ani się z nimi tak cackać: jak wy tam wszystkie... Śliczne wychowanie! Dobrze chociaż, że ja widzieć nie będę, jakie mazgaje powyrastają z tych waszych gagatków...

Znowu przerwa, znów ciche słowa mamy, podobne do brzęczenia komara gdzieś bardzo daleko.

— No no, — pomrukiwała po chwili stara jejmość cieplejszym tonem. — Już ty lepiej o siebie dbaj, zamiast mnie uczyć. Jak ty się zachowujesz? Czy ci do grobu tak śpieszno? Mówiłam: jedz rosół ze drobiu, lykaj surowe żółtka, pij te mikstury, które ci doktor przepisał... Zawsze taki cymbał musi coś wiedzieć, za to pieniądze bierze... Czy ja ci kiedy czegoś pożałowałam? Myślisz, że mię zachwycą twój oplakany stan zdrowia! Wyglądasz, jak zmora... Tfu, doprawdy! Dwadzieścia dziewięć lat!... Jak twoja córka sierotą zostanie, kto temu będzie winien, może ja?

Laska stuknęła trzy razy, w takt słów.

— Nie płacz — żel Nie pora na desperację. Połóż się lepiej do łóżka i nie udawaj, że możesz żyć te łachmanki, kiedy nie możesz. Po co ty sama siebie traktujesz, jak panna służąca? Czy kto

wymaga od ciebie, żebyś ślepiła nad tą bielizną, zgięta w kabłak, jak półtora nieszczęścia! Weź się ostro do leczenia, może się jeszcze wykaraskasz. Dotrzymaj choćby do mrozów. Potem — zobaczmy. Chyba cię do jakiego Meranu wyślę, czy co? Obie z Emilką nadajecie się do sanatorium... Ot, czasy takie, wychowanie!... Te wszystkie wasze mądre teorie w życiu... Masz teraz!

Kroki skierowały się ku drzwiom Uciekłam pędem, nie oglądając się za siebie. Serce moje przeniknęło nawskroś lęk. Sama już nie wiem, czego się bardziej bałam; głosu ciotki Eufemji, czy też straszliwej wizji nieszczęścia, wiszącej nisko nad moją głową, jak czarna płachta gotowa każdej chwili spaść i zmieść mi z przed oczu słoneczne światło dnia...

## XV.

Ostatni tydzień października przyniósł tę tylko zmianę, że matka usłuchała wreszcie namowy i położyła się do łóżka.

— To już chyba i koniec ze mną... — rzekła smutno do Emilki, która jej układała poduszki pod głowę i plecy.

Były to ostatnie słowa zwątpienia, ostatnia skarga, jaką słyszeliśmy z jej ust. Leżała odtąd cicha, zrezygnowana, z rękami zaplecionymi na kołdrze. O ile przebywałam zbyt długo w pokoju, usiłowała nakłonić mię do ruchu:

— Nie siedź tu, Krysiu... Trzeba korzystać ze słońca, póki czas. Pogoda przecież ładna, prawda?

— Ładna, mamusiu.

— No widzisz. Idź... Idź do ogrodu... Zobacz, czy liście już wszystkie poopadały... Opowiesz mi potem, jak tam wygląda... Albo mi listek przyniesiesz... Żółciutki listek Dobrze?

— Dobrze, mamusiu! — mówiłam i wysuwałam się posłusznie z pokoju. Wybierałam potem wśród trawy największe, najpiękniejsze liście klonowe i układałam je w krwawo-złote wiązanki. Znosiłam całe ich pęki i rozsypywałam na łóżku matki. Zsuwały się po kołdrze z cichym chrzęstem i spadały na ziemię, czerwone, żółto-brunatne, płowe...

— A teraz idź na roboty do ciotki Femci. Trzeba się trochę przymusić, córeczko... A teraz pobaw się z Adasiem. A teraz... — dawała mi coraz nowe polecenia.

Spełniałam je chętnie. W domu szło wszystko zwykłym trybem. Snując się, jak cień, śladem Balbiny, pomiędzy kredensem i garderobą, słuchając gderań ciotki Eufemji, goniąc się po ścieżkach z Adasiem, zapominałam często, że mama taka chora, że leży sama w swoim pokoju. Mijała jedna godzina, dwie... Ani się opatrzyłam, jak zmierzch nadchodził, jak zapalono światła, jak podawano wieczherzę... Wstawałam nazajutrz zdrowa i uśmiechnięta, biegłam do mamy, a ona witała mię także z uśmiechem na białej twarzy.

W dzień Wszystkich Świętych domownicy udali się gromadnie do kościoła. Nawet ciotka Eufemja pojechała z wiankiem, tak, jak czyniła rokrocznie od śmierci męża. Zostałam w domu zama z mamą.

— Popraw mi trochę poduszki, kochanie... O, tak. A teraz zmówimy pacierz za tatusia... — ozwała się do mnie.

Mówiłam na głos Anioł Pański, a mama skrzyżowała ręce na pierśsiach i przymknawszy powieki, poruszała lekko wargami.

Po południu kazała przywołać Emilkę:

— Lepiej mi dzisiaj, — rzekła — może naprawdę niedługo wstanę? Kto wie...

Nazajutrz od rana zrobiło się istne piekło w domu. Acan gdzieś przepadł i szukano go wszędzie napróżno. Ciotka Eufemja szukała laską, krzyczała na służbę, wyrzekała na nieporządek w domu i łajała każdego, kto nie zdołał w porę zejść jej z oczu.

— Gdzie się też psisko zadziało? Do wody nie wpadł przecie, ani go szczury zagryzły, a na taką rudę niktby się nie zlakomił! — wydziwiała Balbina, drepcząc tam i sam po wszystkich pokojach i zaglądając w każdy kącik.

Podczas obiadu nastrój był mocno ponury. Wszyscy siedzieli w milczeniu, wbijając wzrok w talerze, oczekując jakiegoś wybuchu. Stara dama, wbrew zwyczajowi, milczała również uparcie i tylko od czasu do czasu rzucała niechętnie spojrzenia to na Emilkę, to

na ciocię Józję, to wreszcie na jedno z nas, dzieci.

Janusz, który się spóźnił, jak zwykle i szybko połykał przestygłą zupę, ozwał się nagle, między jedną a drugą łyżką, niesioną do ust.

— Chyba w konkury gdzie pobiegli! Ha ha ha! Co cioteczka na to? Przypomniał wół...

Niefortunny koncept utknął mu w gardle. Ciotka Eufemja zmierzyla Janusza groźnym spojrzeniem:

— Głupie i niesmaczne żarty trzymają się dziś waćpana — rzekła cierpko. — Mój pies tem się różnił od pewnych młodych ludzi, których znam, że nigdy na folwarku przygód nie szukał...

Emilka upuściła widelec i schyliła się, aby go podnieść. Zapanoowało przydługie milczenie.

— A co? — podjęła po chwili nieubłagana ciotka — prawda w

oczy zakłóła i zadrasnęła delikatne serduszko? Nie wiem, jak tam teraz, bo się nie wtrącam, ale był z twego męża miły gagatek! Pilnuj go lepiej, a na mnie oczu nie wybałuszaj, bo wiem, co mówię!



— Taż, Femciu... — jęknęła pani Rymyszyna. — Taż co na ciebie przystąpiło?

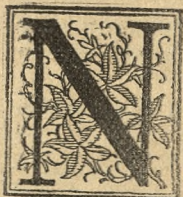
— Przystąpiło, że [mam was wszystkich po dziurki w nosie, o! A jak się Acan do wieczora nie znajdzie, to służbę porozpedzam, nowe tu porządki zaprowadzę! Wam się aż oczy śmieją, że pies przepadł... Chętniebyście go w łyżce wody utopili, bo wiecie dobrze, czem on jest dla mnie! A ja wam otwarcie powiadam, że gdybym mogła jemu cały majątek zapisać, to tylebyście po mnie schedy powachali!

Emilka zerwała się z miejsca i wyszła, trochę za głośno zamykając za sobą drzwi. Za nią oddalił się Janusz, z powagą złożony serwetkę i mocno ironiczny ukłon całemu towarzystwu. Balbina westchnęła i przeżegnała się ukradkiem, a my siedzieliśmy jak trusie, nie śmiejąc prawie oddychać, aby nie zwrócić na siebie uwagi. (c. d. n.)

DR. WACŁAW LIPIŃSKI

## Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina braclawska

(Ciąg dalszy)



a podstawie wydanej przez księżnę „Ustawy dla dóbr moich rządców“ możemy się jak najdokładniej zorientować w kierunku i zamiarach reform, przez

nią dokonanych. Obejmowały one tyle dziedzin, które w pierwszym rzędzie tyczyły się określenia ścisłego znaczenia, czego się tak gorąco literatura ówczesna domagała, świadczeń, czynszów i robocizny, w drugich organizacji reform instytucyj społecznych, samopomocowych, kooperatyw oraz ścisłego zarządu dóbr i administracji, w trzecim wreszcie unormowanie prawnego stosunku poddanego do zajmowanej przezeń ziemi.

Jak już była o tem mowa, raz tylko sejm w Toruniu na początku XVI w. określił dokładnie ilość dni roboczych, jaka ma obowiązywać chłopu pańszczyźnianego. Mimo że konstytucja toruniecka była wskazywana jako ta, która ostatecznie pognębiła stanowisko włościan, poddanych w Polsce, to jednak określając ilość dni roboczych, stawiała pewną, stałą normę. Tę normę w krót-

kim czasie zaczęto przełamywać, obchodzić, tak, iż włościanie w obronie swych praw powołują się właśnie na ową Toruńską konstytucję—lecz bezskutecznie. Liczba dni roboczych, rodzaju i ilości świadczeń, wysokość czynszów, rośnie z każdym lat dziesiątkiem, najzupełniej dowolnie określana przez pana folwarku, wobec czego włościanie byli bezsilni, skoro jedyną i ostatnią instancją prawną, mogącą ich żale na krzywdy wysłuchać, było sądownictwo patrymonjalne—a więc sam pan wsi.

Nic więc dziwnego, że w takim stanie rzeczy literatura polityczna drugiej połowy XVIII w. domagała się przedewszystkiem ustawowego, ścisłego określenia obowiązków pańszczyźnianych, a więc robocizny, czynszów i świadczeń. Tę reformę przeprowadza księżna Jabłonowska. Robocizny zostają ściśle dla całości jej dóbr określone, by usunąć wszelkie nadużycia i zmniejszone o jeden dzień pracy, uciążliwe, dodatkowe świadczenia w naturze, tak trudne do oceny, a nieraz bardzo wysokie, zamienione zostały na niewielki czynsz 5 złotych rocznie z zagrody.

W ten sposób normowała księżna kwestję robocizny, świadczeń i czynszów. Uczyniła to, co było wówczas pragnieniem najbardziej światłych w narodzie jednostek, realizując ówczesną reformę w swych dobrach, stanęła w jednym szeregu z najwybitniejszymi umysłami Polski XVIII w.

W niejednym jednak księżna Jabłonowska poszła dalej, przekroczyła postulaty publicystyki i myśli społeczno politycznej ówczesnych czasów. Tyczy się to głównie organizacji instytucyj społecznych, instytucyj tworzonych dla tak wówczas pogardzanych chłopów, instytucyj, na które nikąd nie mogła czerpać wzorów, brać przykładu, szukać poprzedników. Mają one na celu podniesienie dobrobytu rzesz wieśniaczych, umożliwienie im przetrwania ciężkich chwil niedostatku, podniesienie ich stopy życiowej i dobrobytu materialnego. Tworzy więc księżna nieznane, nigdzie wówczas niespotykane magazyny zbożowe i kasy pożyczkowe.

Pierwsze miały jasno wytknięty cel. W owych czasach, przy niedostateczności dróg, słabej wymia-

nie na rynku wewnętrznym, powodującej obcość poszczególnych okolic we wzajemnym do siebie stosunku—w latach lokalnego, czy ogólnego nieurodzaju sprowadzały niedostatek, nędzę i głód. Zapobiegać temu miały magazyny zbożowe, praktycznie zorganizowane, do których co rok każdy gospodarz musiał składać ćwierć korca żyta, a folwark księżnej dodawał od siebie połowę wszystkich złożonych racyj. W ten sposób nagromadzony zasób bądź sprzedawano po niskich cenach na przednówku, bądź biedniejszym rozdawano całkiem darmo, a jesienią za uzyskane pieniądze skupywano nowe racje, zasilone prócz tego corocznym kontyngentem. Że reforma ta była na ówczesne stosunki niezwykle doniosłą, nie trzeba dawać.

Drugą instytucją, założoną przez księżnę, były kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, oraz kasy posagowe. Kredyt, bardzo wówczas drogi, dostępny jedynie za lichwiarskie procenty, wogóle nie istniał prawie na wsi wśród chłopów. Zaradzić temu miały kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, których kapitał zakładowy, wynoszący 1500 złotych, dostarczyła księżna. Poza to wzrasta on przez dochody z magazynów zbożowych, pochodzących z różnicy cen zboża w czasie przednówka, a jesienią następnie dochody z przedzalni wiejskich, wreszcie procenty od sum, wynoszące 3,3%. Jak wielkim był obrót kapitału, jak często i żywo korzystali poddani księżnej z tej instytucji, dowodem tego, iż w ciągu 20 lat wydano drobnymi pożyczkami 10.400 złotych.

Jeżeli poza samą organizacją tych instytucyj magazynów zbożowych oraz kas skarbowych, doda się jeszcze, iż cały zarząd tych obydwu instytucyj spoczywał w rękach samych zainteresowanych, gromad wiejskich i miejskich, które z pośród siebie go wybierały, to wówczas zrozumie się jeszcze bardziej nietylko wagę samych instytucyj, ale i tę wagę wychowania społecznego, w jakim się kształcili wieśniacy, mając samorząd w tych sprawach w swych własnych rękach, wychowując wśród siebie kapitał zaufania społecznego, zważywszy, iż wybrani do zarządu przedstawiciele gromad nie pobierali za czynność swoją żadnego wynagrodzenia krom zadowolenia z uzyskanego zaufania.

Nie wyczerpywała się jednak na tem praca księżny. Z „Ustaw dla dóbr moich rządców“ tchnie rozważna, a jednak głęboka troska o los swych poddanych, o zapew-

nienie im nietylko bytu materialnego, ale i opieki moralno-religijnej. Tworzy więc księżna kasy posagowe, do których dziewczęta, wychodzące za mąż, obowiązane były składać połowę swego posagu z którego procenty dawały im pewną niezależność od mężów i zapomogę na starość, tworzy kasy połoźnicze, dom miłosierdzia dla starców, którym żywność dostarczały magazyny zbożowe, a dzieci czy dalsza rodzina odzież i niewielkie opłaty, dom pogrzebowy, oraz cały szereg innych reform, mających równie doniosłe jak i praktyczne znaczenie, z których nauka ogrodnictwa, obsadzanie drzewami dróg, gaje młodziańskie (obszary, na których każdy nowożeniec obowiązany był przed ślubem posadzić dziesięć drzew, które z biegiem czasu wyrosły na las, miały służyć wsi za źródło materiału stolarskiego i opałowego), obowiązek perjodycznego oczyszczania kominów, przez specjalnych kominarzy, zorganizowanie wzorowego „porządku ogniowego“, z nagrodami dla najspieszniej się starających przy pożarze, budowa suszarni konopianych dla całej wsi, starania poprawy rasy koni, bydła, nierogacizny i t. d. i t. d. — nie wyczerpuje tej różnorodnej mnogości ulepszeń, reform, urządzeń, których dzisiejsza wieś nawet nie ma, które i dzisiaj nie łatwo można znaleźć na naszej wsi, wśród organizatorów materialnego, społecznego i kulturalnego jej rozwoju.

Prócz tego ogromu prac, prócz znakomitego zorganizowania własnego zarządu dóbr Kockich, Wysokiego Litewskiego i Sieniatyckich, dającego z jednej strony w rezultacie wspaniałe dochody, a z drugiej zapewniającego tysiącom wiejskich rodzin pewne, bezpieczne, zorganizowane prawami, wydanymi przez księżnę, spokojne korzystanie z plodów ziemi i zapewniające im być dostatni i zasłużony chleb; prócz tego wszystkiego dokonała księżna reformy, wymagającej wielkiego duchowego kapitału, wielkiego odczucia spraw i doli swych poddanych, ogromnej wnikliwości w postęp nowych, tak niepopular-

nych jeszcze wówczas haseł, jeśli w swych dobrach przeprowadziła nie tylko unormowanie czynszów, robocizn i danin, nietylko wytworzyła wzorową gospodarzkę i społecznienie wsi, ale sięgnęła śmiałym swym umysłem do najbardziej palącej wówczas sprawy, sprawy prawnego stosunku chłopów do zajętej przezeń ziemi.

Stosunek ten nie był regulowany nigdy od całych wieków i to na całym obszarze Rzeczypospolitej. Nienormalny ten stan sięgał w głąb naszych dziejów, w pierwotne okresy formowania i powstawania wsi polskiej, kiedy to człowiekowi wówczas niewolnemu, szczątkowi dawnych, słowiańskich rodów, czy jeńcowi, wziętemu na wojnie — nadawał rycerz średniowieczny sam kawałek ziemi lub też od księcia czy króla otrzymywał wieś już z ludźmi, w niej osiadłymi. Dawny kmięć, późniejszy chłop, pańszczyźniany poddany uprawiał tę ziemię, użytkował ją, miał prawo własności na rzeczach ruchomych, lecz grunt jego, działka, łąn, półłanek, czy morgi nie należał do niego, był własnością pana. Stąd rugi, przenoszenia, okrawania chłopskich ról, zaokrąglania folwarcznych. Stąd krzywda nieustanna płynęła i morze łez. Tę kwestję postanowiła załatwić księżna Jabłonowska. W 1771 r. dokonany został pomiar jej dóbr, każdemu gospodarzowi wyznaczono po 16 morgów, z których w ciągu 50 lat nie miał prawa dziedzic go rugować, a chłop nie miał prawa rozdrabniać, dzielić nadanej mu działki, zostawiając ją najstarszemu synowi.

Była to wielka reforma. Nie nadawała ona wieśniakowi jeszcze prawa własności, boć to nie zgadzało się z pojęciami całej szlachty jeszcze w połowie ubiegłego stulecia, jeszcze czasów ojców czy dziadów naszych — ale świadczyła, że choć księżna nie wyprzedziła myśli społecznej o lat sto — to jednak wyprzedziła ją o całe ówczesne pokolenie, o lat dziesiątki.

I dlatego też reformy księżnej Anny Jabłonowskiej, słabej by rzekło się, kobiety, są tak znacznymi nie tylko dla historyka, badacza owej ciemnej i smutnej naszej doby, ważącego wszystkie prądy, wpływy, kierunki, idee i dążenia w masie społeczeństwa, ale przede wszystkim dla tych, którzy wśród masy tego społeczeństwa, szukają jednostek, indywidualności, świecących niby gwiazdy na niebie wśród swego otoczenia i swego pokolenia i pokoleniu temu przewodniczących.

(c. d. n.)



## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



### GALANTERJA FRANCUZÓW

Miss Wilkinson, posłanka do parlamentu angielskiego, przybyła niedawno do Paryża. Gościnni Francuzi przyjmowali ją niezmiernie uprzejmie, a parlament francuski zaprosił ją w charakterze gościa na posiedzenie pienarne, podczas którego okazywano jej ze wszech stron niezmiernie wiele sympatii i ugrzecznienia. Z tego powodu niektóre pisma kobiece francuskie ironizują trochę na temat „galanterji Francuzów”, podkreślając, że stosuje się ona tylko do kobiet — cudzoziemek, we własnym bowiem kraju panowie posłowie nie spieszą się bynajmniej z wprowadzeniem kobiet do izby poselskiej i przyznaniem im należnego równouprawnienia.

### PRAKTYCZNY POMYSŁ

W Londynie otwarte zostały specjalne kursy gotowania i gospodarstwa domowego... dla mężczyzn. Słuchaczami ich są przeważnie młodzi ludzie, urzędnicy lub biuraliści, mieszkający w pokojach kawalerskich, którym sprzykrzyło się stołowanie w tanich jadłodajniach. Uczą się oni na tych kursach wszystkiego, co jest niezbędne dla człowieka, mieszkającego samotnie, a nie mogącego sobie pozwolić na opłacenie służby, a więc sprzątania, reperowania bielizny i przyszywania guzików, przedewszystkiem zaś — gotowania, polegającego głównie na umiejętności przyrządzania nieskomplikowanych, a zdrowych potraw na małej maszynie spirytusowej lub elektrycznej.

Pismo kobiece „Home” z którego czerpiemy tę wiadomość, zaostrza ją w następujący, żartobliwy komentarz:

„Mamy nadzieję, że absolwenci tych kursów stanowią będą w przyszłości lepszy materiał na mężów—

doświadczywszy bowiem praktycznie, ile czasu i trudów wymaga prowadzenie rzeczy tak na pozór łatwej i nieskomplikowanej, jak gospodarstwo domowe — potrafią ocenić należycie pracę swych żon i nie będą ich zadreczali stereotypową wymówką: „ja pracuję na utrzymanie domu, a ty nic nie robisz i tylko wydajesz pieniądze”.

### WESELE MILJARDERKI

Dnia 15 maja r. b. odbył się w Nowym Jorku ślub najbogatszej amerykańskiej „panny na wydaniu” córki „króla naftowego” Rockefellera. Pisma nowojorskie przepelnione są opisami obrzędu weselnego, który się odbył z niebывалым nawet jak na stosunki amerykańskie — przepychem i rozrzutnością.

Przygotowania do tej uroczystości rozpoczęły się już na kilka tygodni przedtem. Kilkaset robotników pod kierunkiem najwybitniejszych artystów amerykańskich pracowało nad dekoracją zewnętrzną i wewnętrzną pałacu Rockefellerowskiego. W przeddzień ślubu specjalna eskadra lotnicza przywiozła przepyszne rośliny i kwiaty podzwrotnikowe, któremi zapełniono salę, przedsionki i schody pałacu. Kilkaset samochodów i aeroplanów przywiozło produkty żywnościowe, niezbędne do przygotowania uczytu weselnej. Około 100 kucharzy przyrządzało potrawy. Na roast-beef zabito 35 wołów, na pieczone zaś — 1600 sztuk drobiu. Owoce zwożono cały dzień samochodami ciężarowymi.

Zjazd gości był niezwykle liczny, ci zaś wszyscy, którzy z jakich, kolwiekbyż względów nie mogli wziąć udziału w tej uroczystości, nadsyłali depeze iskrowe. Specjalne stacje radiowe, ustawione na ten czas w pałacu, odebrały 13.000 takich depez w dniu wesela!

Toaleta panny młodej, wykonana przez jedną z największych firm paryskich, lśniła cała od klejnotów, których wartość obliczano na kilka milionów dolarów. Po uczcie weselnej odbył się dla zebranych gości wspaniały koncert z udziałem najwybitniejszych sił artystycznych.

Przez cały dzień tłumy ciekawej publiczności oblegały pałac Rocke-

fellera, tamując ruch uliczny — tak że trzeba było zmobilizować specjalny oddział policji dla utrzymania porządku.

Trudno nawet w przybliżeniu obliczyć koszty tej zaiste monarszej uroczystości. Nasuwa się jednak mimowoli pytanie — jakimi będą dalsze losy tej młodej dziewczyny, wkraczającej na nową drogę życia wśród tak zawrotnej atmosfery przepychu, bogactwa i zbytku? Czy nie stanie jej nigdy przed oczami widmo matki — nędzarki, napróżno usiłującej uchronić swe dziecko od śmierci głodowej — młodej dziewczyny, wciąganej przez nędzę w otchłań hańby? Czy — w jakiej ciężkiej godzinie, sam na sam ze swym sumieniem, przechodząc myślą dni młodości i szczęścia — nie pożałuje kiedyś tych skarbów, roztrwonionych na marne dla przelotnego kaprysu — dla zadowolenia próżności i światowej ambicji — skarbów, które mogłyby nakarmić tylu zgłodniałych, oświecić tylu żądnych wiedzy i dać tylu bezdomnym i opuszczonym bezpieczną przystań, siły i zdrowie! Z B

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu wyszły drukiem następujące powieści: *Stefan Kiedrzyński* „Dym ofiarny”, *Michalina Domańska* „Brzydka” (nowe wydanie), *Zygmunt Bartkiewicz* „Wyzwolenie”. Ta ostatnia książka jest zbiorem obrazków i impresyj pochwyconych z życia i oddanych ze zwykłym talentem tego wybitnego pisarza.

Firma wydawnicza M. Arct wydała niezwykle interesujące dzieło *Dr. Aleksandra Sokolnickiego* p. t. „Dziecko a przestępstwo”. Książce tej poświęcimy z czasem obszerniejszą recenzję.

Ukazał się w druku nakładem Tow. Wydawniczego „Czartak” tom poezji *Janiny Brzostowskiej* p. t. „O ziemi”.

Nakładem firmy wydawniczej *Władysława Uzarskiego* w Rzeszowie wyszły z pod prasy: opowiadania *Hal. G. Ewartsa* „Odmieniec” oraz *Valle Inelan'a* „Sonata wiosenna” (przekład z angielskiego).





## NAJMODNIEJSZE

## UCZESANIA



Moda krótkich włosów mija już zupełnie, stawiając w kłopotliwym położeniu jej wierne zwolenniczki. Ze sposobów uczesania krótkich włosów noszony jest już tylko „à la garçonne“ t. j. gładko zaczesana głowa, jak wskazują dwa rysunki na lewo. Trudną sytuację ratują przypinane, sztuczne upięcia i warkoczki, powracające do mody. Komu nie odrosły jeszcze obcięte włosy—dopełnia uczesania takimi „postiche’ami“, zrobionymi nieraz z własnych, przechowanych włosów, a łączy je z krótko obciętemi kłamrami i grzebieniami, które dopełniają najmodniejsze uczesania, a które rugują wysoki grzebień hiszpański, obejmując głowę nisko, przy spięciu włosów, jak to załączone rysunki wskazują.

## NOWOŚCI I ZMIANY

Zagranicą dają się wyczuć delikatne odchylenia, które sygnalizują nam pewne zmiany w dziedzinie drobiazgów, tak wykwintnie wykończających naszą toaletę. Pisma i magazyny, którym słusznie palma pierwszeństwa w tej dziedzinie przyznana została, drgnienie to odczuwają silniej, niż najgorętsze ich adeptki, które zaledwie przyswoiwszy sobie „ostatni krzyk mody”, już skazane są na studjowanie zmian i nowości.

Do rzeczy, które zapewne już na jesieni zapisane zostaną pod rubryką wspomnień i przeżytków należą w pierwszej linii grzebienie i szal hiszpański! Panowanie ich minęło prędzej, niż można się było tego spodziewać, wobec wdzięcznej linii i pewnej egzotyczności, jakiej dodawały uczesaniu i pięknym kształtom, otulonym w miękkie ich zwoje, bogato barwnym haftem i jedwabistą frendzlą wykoń-



zione. Nad urwistym brzegiem przepaści zapomnienia, zatrzymały się też na kłótką jeszcze chwilę, strojne, skombinowane pantofelki, o wycinanych głęboko bokach i kapryśnie skrzyżowanych paskach, ujętych ozdobną klamrą. Te fantazyjne, wymyślne i kolorowe kreacje, pociągnęły za sobą w krainę niełaski haftowane, malowane, wypalane i aplikowane, o szerokim mankiecie rękawiczki, które cieszyły się powodzeniem jeszcze na wiosnę, a którym gra już dzisiaj dzwon pogrzebowy!

Nieodwołalnie wykreślono też z szeregu „uprzywilejowanych”, zegarek noszony na czarnej wstążeczce, lub ujęty w misterne skręty złotej bransoletki, odrzucono fantazyjny sznur barwnych paciorków, kolorowym chwastem zakończony! Moda chociaż bezwzględna i uległością szerokich mas zepsuta, daje nam, w tym wypadku dowód łaskawości, odraczając ostateczny termin do końca sezonu letniego. Rzucenie na tło jasnej, letniej sukni żywego w kolorycie i barwną tworzącego plamę sznura fantazyjnych kształtem paciorków, nie będzie jeszcze należało do zbyt jaskrawych odchyłań.

Najostrzej zarysowuje się kampanja przeciwko tak popularnemu jesienią i w zimę kapeluszowi kopolastemu, z kokardą zwycięsko na szczytach osadzoną. Mówi się dzisiaj o nim, jak o niedawnej wprawdzie, ale bezpowrotnie minionej przeszłości. Każdy wie, że ist-

niał, ale równocześnie nie brak nam przeświadczenia, że niczego tak gorąco unikać nie należy, jak mody przeszłorocznej, a wyrok już zapadł nieodwołalny, że kapelusz o którym mowa jest „quelque peu 1924”.

Na tej smutnej liście, która głosi banicję tylu „najmodniejszym” przejawom ostatniego sezonu, zamieścić jeszcze muszę, niestety, tak wdzięczną i miłą chusteczkę, bez której, nie mogła się dotąd obyć żadna kieszonka, żaden woreczek! Kolorowa chusteczka, misternym różkiem na świat wyglądająca, na równi z haftowanym paltem, zostaną wykreślone nieodwołalnie, pyjama, która się tak zrećnie wplotła w nasze życie domowe, schodzi do smutnej roli zdebronizowanych.

Przygotowana jestem z góry na pełne goryczy i słusznej urazy zapytanie: Czemu zastąpić tylu bez-





Obuwie i rękawiczki, jak najskromniejsze! Na ulicę, do spacerowych toalet i kostjumów noszone będą przeważnie obcasy niskie, formy proste, sportowe. Pantofelki wieczorowe, strojne, na wysokim obcasie, pozbawione pasków, głęboko wycięte, będą koloru sukni, wykończone artystycznym kwiatem ze złotej skóry, przypiętym nie pośrodku, a trochę z boku, do zewnątrz lub galonem albo inkrustacją.

Sznur paciorków wielkich i kolorowych, przetykanych małymi i ma-



litośnie odrzuconych przyjaciół? Co wpisać na stronie naszych najmilszych przyzwyczajęń, ogołocone nowym kaprysem mody! Czyż ośmieliłabym się mówić o umarłych, gdybym nie mogła przedstawić równocześnie zwartych szeregów nowych kreacyj, grających życiem i pociągających nowością form i linii.

Szal hiszpański, w barwne, wzorzyste desenie, malowany lub haftowany, znalazł już godną następczynię w kwadratowej chustce szkockiej w kratę. Najmodniejsze kombinacje kolorów, to niebieski z żółtym, wiśniowy z kolorem champagne, lub marron, i fioletowy z mauve. Ten nowy i ładny dodatek przejmie niepostrzeżenie berło pierwszeństwa od wyżej wspomnianych szali w okresie końcowym sezonu letniego. Chusteczka używaną będzie do kostjumów i sukien cięższych, do sukien wieczorowych i strojnych, szal lekki tiulowy, lub z kolorowej iluzji.

Zegarki, przekształca się z bransoletkowych na noszone w małych, specjalnie w tym celu robionych kieszonkach. Zakończone będą dewizką z czarnej wstążeczki, ujętej w breloczek dziwaczny, dowcipny, pomysłowy o misternym wykonaniu, lub precyzyjny monogram, w kształcie kółka, owalu, czy prostokąta. Zegarek taki, a właściwie jego pomysłowe zakończenie, zastąpić ma chusteczkę i wypełnić osieroconą po niej kieszonkę.



leńkami, zastąpią perły duże i kolorem do sukni zastosowane, które nosi się ściśle do szyi przylegające. Kolczyki tak długie, że prawie ramion dotykają.

Rękawiczki, ze skóry jasnej, specjalnie do prania, szyte wierzchem o formie skromnej, odpowiadać im będzie kołnierz palta wąski i prosty krojem.

Pyjama, znikająca z horyzontu zastąpioną zostanie przez długą, swobodną bluzę jedwabną, z pod której dyskretnie wyglądać będą nóżki przybrane w takież jedwabne spodniki.

Czy pogodzimy się łatwo z temi wszystkimi nowościami? Czy prąd ciągłych, kapryśnych zmian i pseudo-ulepszeń zdoła unieść w swym pędzie daleko i bezpowrotnie to co przywykliśmy w ostatnich miesiącach, tygodniach, a nawet dniach, uważać jeszcze za modne i ładne? Nie moja to rola przesądzać z góry, doradzać, dziwić się, gorszyć, lub krytykować, powiem tylko jedno na zakończenie: tak, jak niezbitym pewnikiem jest, że bardzo razi trzymanie się uparte mody, która minęła, tak razi jeszcze silniej i jaskrawiej zbytnie stosowanie się do wszystkich kaprysów i nowości. Modę śledzić i iść jej ścieżyną winna każda z nas, a to w imię faktu niezaprzeczonego, że „co modne to ładne“, chociażby ze względu na łatwe nawyknienie wzrokowe! Jednak stosować winnyśmy ją oględnie z nagięciem do naszego typu, figury, rodzaju urody, stosować ogólną linję i koloryt, a nie dziwaczne, kapryśne i śmieszne nieraz szczegóły, które robią z tyłu kobiet lalki, lalki tak jaskrawo, niestety dzisiaj wymalowane, w imię mody! Jak najwięcej umiaru i wykwiniej prostoty, a moda zawsze będzie tą, która naszą urodę podniesie.

W



## „DERBY“ W WARSZAWIE

Niebo sprzyja polskiemu sportowi. Londyńskie „Derby“ odbyły się pod parasolami — Warszawskie w pełnym słońcu, w cudny, jasny, lecz nie upalny dzień. Gdyby nie tumany kurzu, wznoszące się nad głowami za najłżejszym podmuchem wiatru, teren wyścigowy zdawałby się rajem. Trybuny wyglądały, jak klomby, pełne najrzadszych „kwiatów“, trzepotały nad niemi jak rój stubarwnych motyli maleńkie parasoleczki, jeden z najładniejszych kaprysów chimerycznej władczyni — mody.

Dookoła tych kwiatów niby ciemne bąki i trzmielce, krążyli gentelmani, uroczyście opięci w żakiety, w lśniących cylindrach na głowach.

Po trzecim biegu przyjechał pan Prezydent Wojciechowski, witany rzesistemi oklaskami i hymnem narodowym, i zasiadł w łoży honorowej wraz z p. ministrem wojny Sikorskim, prezesem wyścigów konnych margrabią Wielopolskim, oraz państwem Max-Müller. Pani Max-Müller, małżonka posła angielskiego miała toaletę brązową i wielki brązowy kapelusz o kresach lekko opuszczonych z obu stron twarzy. Wśród pań na trybunie członkowskiej dojrzałam panią ministrową Sikorską w złotawym deux pièces i jenerałową Jacyna w białym płaszczu, bramowanym muflo-nami. Zdobyć nagrody „Derby“, przez „Forward“ konia ze stajni Grzybowskiich wywołało lekką konsternację. Sportsmen warszawski jest konserwatywny i nie lubi niespodzianek.

Jakaś mało znana stadnina, od niedawna na torze warszawskim — i bierze „Derby“. Co to ma znaczyć! Bili brawo, ale bez przekonania. Tem rzesistsze oklaski posypały się, gdy nagrodę Prezydenta zdobył Boruta ze stajni ks. Lubomirskiego. Cóż dziwnego, że się chętnie wita starych znajomych.

Bieg „Derby“ i „Nagroda Prezydenta“ tak absorbowały uwagę publiczności, że wszystkie oczy zwrócone były na tor, piękne panie w pajęczych szatkach nieraz były brutalnie potrącane w tłumie, cisnącym się do barjery. Po piątym biegu (Nagroda Prezydenta) napięcie zainteresowania sportowego znacznie osłabło.

Pan Prezydent żegnany hymnem opuścił wyścigi, wiele osób poszło za jego przykładem.

Teraz dopiero można było się rozejrzeć po mniej zwartym tłumie i podziwiać poszczególne arcydzieła sztuki krawieckiej. Na nazwę

arcydzieła zasługuje chyba przede wszystkim deux pieces panny Hanksi Ordonówny, z matowej wełny, koloru bardzo mlecznej kawy. Obcisły żakiet o dłoń zaledwie krótszy od sukni, dyskretnie haftowany metalową nitką.

Wysoki, stojący kołnierz z drobnych białych piórek i takiż sam kapelusik, nasunięty na oczy tworzyły całość bardzo elegancką i zabawnie oryginalną.

Panna Kazimiera Skalska miała przy kostjumie fox trot prześliczne pantofelki ze skórki, dobranej do kostjumu i wyplatanej w jakieś przedziwne desenie. Kapelusz z żółtej słomy, duży, zawadjacko wywinięty. Mam wrażenie, że rewolucja wielkich kapeluszy zwyciężyła w zupełności. I niezadługo mały kapelusz będzie równie shocking, jak był tej zimy duży. Nawet filce zaczynają być duże, co podobno wpłynęło we Francji na podrożenie królików. Zapotrzebowanie na szerść króliczą jest tak ogromne, że choć pocziwie te zwierzątka „mnożą się jak króliki“ nie podobna ich nastarczyć.

Bardzo ładnie wyglądała w takim dużym, wywiniętym, białym filcu (biedne króliki!) pani Bukojemska w lekkiej, białej sukience, owinięta wielkim szalem z białej georgette'y malowanym w bukiety pastelowych kwiatów. Bardzo to było ładne. Pani Owczarska miała wielki, rdzawy kapelusz, wykończony falbanką z rdzawej koronki, przyszytą na wewnętrznym brzegu kresy. Pani Pichor-Słiwicka w toczeniu z białych crossów. Siostry Hryniewiczówny, jedna brunatno-złota, druga cała szafirowa, w kostjumie z szafirowego jedwabiu w lśniące i matowe pasy i w rozkoszonym kapeluszu z kresami z szafirowego tiulu.

A wieczorem był bal. Oczywiście bal „Derby“, wielki, uroczysty bal. Ale publiczność nie stawiała się tak tłumnie, jak się tego spodziewano. Tłumaczono to letnią porą, kiedy to się już

nie ma ochoty na tańce, a jeszcze prawdopodobniej ogólnym brakiem gotówki. Za to ta publiczność, co się stawiła, była bardzo elegancka, ale mimo to bal nie miał charakteru balu, tylko eleganckiego dancing'u Winien temu lokal. Zbyt wiele odbywa się w sali Hotelu Europejskiego dancingów.

Stali bywalcy restauracyjni i dancingowi wprost z przyzwyczajenia zasiadłszy dookoła stołów, zabierają się do kolacji. — Zagra muzyka — zatańczą między stolikami i zabierają się znów do jedzenia, no i oczywiście do picia. Jest bardzo przyjemnie, bardzo wesoło ale to nie bal. Świat artystyczny i literacki stawił się licznie. Była panna Malicka w kremowej sukni, haftowanej w paciorkowe girlandy i w białej peruczce, tak rzadko teraz widywana pani Marja Brydzińska, w toalecie białej z czarną tiuniką, tworzącą jakby jaskółcze skrzydła. I pani Marja Strońska w białej georgette, skarbowanej na bokach, przód i tył haftowane szklanym owsem. Panna Kazimiera Skalska miała suknię z koralowego ninon w aksamitne kwiaty.

Kiedy nie tańczyła owijała się we wspaniałą, koralową chustę haftowaną w wypukłe, białe kwiaty. Panna Marja Hryniewiczówna (dramat) miała błękitne, jedwabne fourreau, w dole bogato przybrane pękami szafirowych, strusich piór. Panna Rena Hryniewiczówna (balet) fourreau ze srebrnej lamy, za haftowane owsem szklanym.

Błyszczało to i mieniło się przedziwnie, lecz mocniej błyszczały oczy rozbawionej, młodzieżkiej tancerki.

Panna Balcerkiewiczówna miała suknię złotawą z piórami amarantowemi. Panna Halina Hulanicka, znakomita uczenica Izydory Duncan, tańczyła w sukni vert Nil, pokrytej złotą koronką.

Była pani Kornelowa Makuszyńska w toalecie ponsowej ze złotem, świetnie wydatniającej matową cerę i czarne oczy pięknej małżonki znakomitego autora. Redaktorowa Czempińska miała lekką suknię blado lila z tiuniką malowaną ręcznie w fioletowe maki. Lila kapelusz, zakończony podobnym makiem dopełniał wdzięcznej całości. Towarzystwo rozeszło się o trzeciej, gdyż jest to godzina, o której w czerwcu świt małuje szyby jasnym szafiirem i zdradza niedyskretnie tajemnice podmalowanych twarzy i zmiętych toalet.



## ARTYSTYCZNE ROBOTY ZE SKÓRY

## CHOREOPLASTYKA

## II.

Wzór № 3. Okładka do noszenia książek (liseuse). Po wykrajaniu odpowiedniego kawałka skóry, (można użyć baraniej, lub cielęcej) skalkować wzór sposobem, podanym przy wzorze № 1. Po pogłębieniu wszystkich linii, skórę umieścić na desce licową (błyszcząca) stroną do góry. Na desce tej uprzednio rozwałkować plastelinę na grubość  $\frac{3}{4}$  cm. w przybliżeniu.

Umieszczając skórę trzeba uważać aby się zmieściła na plastelinie cała część ABCD, gdyż tę tylko opracowywać będziemy na wypukło. Uważać, aby skórę w ciągu roboty utrzymać w stanie wilgotnym.

Zapomocą mniejszego narzędzia w kształcie szpachelki (o narzędziach tych powiedziano w poprzednim numerze) obniżamy tło dokoła deseni, naciskając stopniowo skórę, która wgniata się w plastelinę. Kółeczka dokoła deseni zostawiamy nietknięte, ponieważ mają być wycięte na azur.

Im więcej i dłużej będziemy ugniatali tło, tem wypuklejszy otrzymamy deseń, to pozostaje do uznania wykonawczynie.

Najtrudniejszą do wykonania jest sowa, umieszczona w środku okładki, gdyż potrzebuje trochę zmodelowania. Po zagłębieniu tła wokoło, tem samym narzędziem lekko zagłębić skórę na skrzydłach wokoło korpusu, pozostawiając zewnętrzne części skrzydeł na wypukło. To samo zrobić w górnej części nóg i dolnej głowy, zagłębiając lekko skórę na korpusie. Następnie cienkim narzędziem, służącym do pogłębiania konturów wmodelować w ten sam sposób oczy i nogi. Przed zdjęciem skóry z deseczki pogłębić tem samym narzędziem lekko rysy na skrzydłach i korpusie sowy, ponieważ w trakcie wyciskania tła mogły się trochę rozciągnąć.

Teraz przenieść skórę, ciągle utrzymywaną w stanie wilgotnym



na płytkę marmurową (lub szklaną) i za pomocą specjalnego narzędzia doprowadzić, stopniowo gładząc i naciskając, tło do zupełnej równości. Im skórą będzie bardziej wilgotna, tem łatwiej i lepiej ta robota się uda.

Zabarwić możemy:

1) na kolor brązowy jednolity, za pomocą dwuchromianu potażu. Kwas ten daje kolor mniej czysto brązowy niż użyty w № 2 potaż. Ma tę niedogodność, że się nie daje odbarwiać, jak potaż lub siarczan żelaza. Przyrządza się dwuchromian potażu do użytku w ten sposób, że przesycony roztwór rozcieńcza się wodą i próbuje się na kawałku skóry,

aż do otrzymania odpowiedniego tonu. Dwuchromian potażu można użyć mocniejszy, gdyż nie pali skóry, tak jak potaż. Postępuje się tak, jak przy barwieniu potażem (Opis przy wzorze № 2).

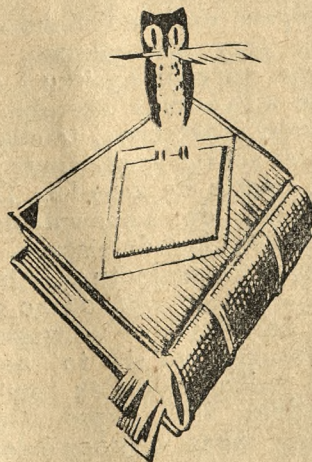
2) na kolor popielaty, za pomocą siarczanu żelaza (opis przy wzorze № 1) Zabarwiwszy całość na kolor popielaty, deseń wypukły można przeciągnąć roztworem kwasu pikrynowego. (Jak zawsze za pomocą wypróbowania, znaleźć odpowiednie rozcieńczenie). Zabarwi to deseń na ładny żółto-zielony kolor.

Po wysuszeniu skóry można wzmocnić ją werniksem zaponowym, lub nadać połysk woskiem z benzyną. (Opis przy wzorze № 1). Teraz, z odwrotnej strony, na linii AC i BD, szklanym papierem (glasspapierem) ściąć skórę przez pocieranie, uważając jednak, by jej nie rozciągnąć. Zmoczywszy w tem tylko miejscu i zawsze z odwrotnej strony skórę, zagiąć do środka części EAFC i BGDH na liniach AC i BD. Położony na marmurze, mocno naciskać dużym narzędziem kanty AC i BD aż do zupełnego sprostowania.

Wyciąć kawałek irchy (dostaje się w większych składach aptecznych), lub jedwabiu mocnego, nie strzępiącego się, wymiaru ABCD i przyłożyć go jako podszewkę, na tę część roboty.

Uważając, by części EAFC i BGDH szczelnie przylegały do części ABCD, zapomocą szczyptic do dziurkowania skóry porobić dziurki 2—2½ milimetrowe na brzegu części ABCD, przygotowując w ten sposób do zeszywania całą okładkę łącznie z podszewką. Na dwóch miejscach, naznaczonych na każdej z linii AB i CD, zrobić po trzy dziurki 3½ do 4 mm.

Zeszywa się brzegi na okrętkę rzemykiem z tej samej skóry 2—2½ cm. szerokości, krajany o ile można najdłużej, gdyż łączenie szpeci. Kawałek skóry, przeznaczony



na rzemyki, ścienia się szklanym papierem z odwrotnej strony i barwi się na ten sam kolor, lub, jeszcze lepiej, trochę ciemniejszy.

Sposób, który podajemy, jest trudniejszy: łatwiej byłoby kupić skóry cieńszej, angielskiej cielecej cienko specjalnie wyprawionej. Uniknęłoby się wtenczas mozolnej pracy ścieniania, lecz niestety, bardzo rzadko się tę skórę u nas spotyka.

Zeszywanie najlepiej zacząć od środka, na zgięciu. Zostawiwszy koniec 2—2½ cm., zagiąć go w ten sposób, by następnie ścięgi go przycisnęły.

Po skończeniu szycia, drugi koniec przeciągnąć przez kilka ostatnich ścięgów na wewnętrznej stronie roboty.

Pozostają jeszcze do wykonania dwie rączki do noszenia.

Kraje się sześć rzemyków, — po trzy na każdą rączkę, — szerokość 4—4½ mm., długości 35 cm. każdy. Od wewnętrznej strony okładki wkłada się trzy rzemyki w trzy większe dziurki i lekko przymocowuje się koniec nitką na wewnętrznej stronie rzemyka; po przymocowaniu splata



Rysunek całej okładki w zmniejszeniu (wzór nat. wielk. możemy przesłać).

się trzy rzemyki, jak warokocz, uważając, by strona licowa skóry zawsze była na wierzchu. Gdy długość uznamy za dostateczną, wkładamy trzy pozostałe końce rzemyków w pozostałe trzy większe dziurki, od zewnętrznej ku wewnętrznej stronie okładki i od wewnątrz umocowujemy nitką rzemyki. W ten sam sposób robimy drugą rączkę, na czym kończymy robotę.

W razie gdyby skóra się zabarwiła bardzo nierówno i brzydko wyglądała, co się zdarza nieraz, można jeszcze uratować jej wygląd za pomocą wybicia tła specjalnym do tego celu sporządzonym narzędziem.

Jest kilka typów narzędzi do wybijania tła. Służą one zarówno do skóry, jak do metaloplastyki. Przedstawiają gwiazdki, kółeczka drobne, lub kilka w trójkąt ujętych kropeczek.

Przykłada się takie narzędzie do tła i lekko uderza się w nie małym młoteczkim. Można tło wybić rzadko, lub gęsto — zależy to od gustu i potrzeby w każdym, poszczególnym wypadku!

Cz.

## TAYLORYZM W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

— Kraj nasz odbudowuje się po strasznych spustoszeniach wojny, — spustoszeniach materialnych i moralnych, jakie skutki tej wojny wywołały. Odbudowywać się musi na mocnych podstawach ładu, porządku, pracowitości, bo inaczej zdobycze, jakie przyniosła, błogosławiona dla nas wojna ludów, przez nas samych, w wielkiej mierze przynajmniej będą zmarnowane.

W takiej chwili zaznajomienie się przez nas, kobiety polskie z dziełkami bardzo praktycznej i bardzo ideowej amerykanki, p. Christine Fréderick uważam za opatrnościowe. — Czy w wielkiej wytwórczości przemysłowej, — czy w rolnictwie, czy w gospodarce samorządowej lub wielkiej machinie Zarządu Państwem, czy w każdym gospodarstwie domowym, podsta-

wie bytu rodziny, która tak w naszym pojęciu, jak w pojęciu p. Frederick jest zasadniczą komórką społeczną, wszędzie, na każdym polu potrzebną jest: pracowitość, ład i celowa, mądra organizacja pracy.

Taylorizm, czyli największa wydajność, przy stosunkowo, najmniejszym zużyciu wysiłku i czasu znajduje w Ameryce szerokie zastosowanie praktyczne, trzeba dodać, że w sensie społecznym, wytwórnice oparte na zasadzie Taylorizmu, dążą do zapewnienia robotnikowi najdogodniejszych, najzdrowszych i najkulturalniejszych warunków pracy, wychodząc z założenia, że nie tylko ze względów humanitarnych mu się to należy, ale, że tylko człowiek myślący i względnie do swego zajęcia oświecony, może w pracy dojść do

najwyższej wydajności i zapewnić dobrą i taną wytwórczość.

Zakłady przemysłowe Taylorystyczne, kierują się przy przyjmowaniu pracowników, nie świadectwami, przedstawianymi przez takowych, ale wprost próbą. Jeżeli pracownik, oświadczywszy że chce i może daną pracę wykonać, wytrzyma próbę, zostaje przyjęty, jeżeli okazał zdolność wyższą, automatycznie podwyższają mu zarobki — jeżeli nie dosięga określonych warunków — sam sobie daje dymisję.

Idzie nam bardzo o to, żeby ksiądzka p. Frederick dotarła do każdego polskiego, inteligentnego domowego środowiska, pobudziła w niem czyn i rozjaśniła myśl, że praca domowa kobiety to kamień węgielny wszelkiego ekonomicznego społecznego rozwoju — to zaję-

icie w dostojności i ważności swojej nie niższe od trudów uczonego, wielkiego finansisty czy przemysłowca, albo strategika, broniącego granic i potęgi kraju. — Ale trzeba to zajęcie pojmować i spełniać z taką ideową samowiedzą a praktycznym zastosowaniem jak to p. Frederick rozumie i przedstawia.

Książka obejmuje takie rozdziały:

Normalna wydajność i naukowe zorganizowanie pracy domowej.

Zastosowanie znormalizowania ruchów i studjów nad nimi przeprowadzonych do zajęć domowych.

Znormalizowanie kuchni.

Przyrządy pomocnicze.

Zaprowadzenie normalnej organizacji czasu.

Umiejętność robienia zakupów.

Zorganizowanie rachunkowości.

Zapiski i łady gospodarcze.

Podręcznik kuchenny na zasadach Tayloryzmu.

Zastosowanie normalnej wydajności pracy i czasu oraz systemu gratyfikacji, do zagadnienia służby domowej.

Wzmoczenie wydajności pracy służących.

O sposobach rozwinięcia normalnej wydajności pracy pani domu.

Stanowisko i zadanie mężczyzny, odnośnie do naukowej organizacji pracy domowej.

Stosunek gospodarstwa domowego do ekonomii politycznej.

Wychowanie, a ruch naukowy organizacji domowej.

Kuchnia normalnej organizacji w Applecroft.

Autorka, będąc jednostką o wyższej kulturze i wykształceniu (ma poza sobą studia uniwersyteckie), należy do sfery osób średnio zamożnych. Stwarza ona sobą godny naśladowictwa typ najczulszej matki i doskonałej żony — towarzyski, która idzie ręką w rękę z mężem, pracując na stworzenie dobrobytu ogniska rodzinnego, dobrobytu nie tylko materialnego, ale intelektualnego i uczuciowego.

Sposób, w jaki jest traktowana książka p. Frederick, daje nam jasne pojęcie, o wysokiem docenieniu przez autorkę życia rodzinnego i samej rodziny, jako takiej. Autorka niejednokrotnie zaznacza zapatrywania swoje na rodzinę, jako na najważniejszą z komórek organizmu społecznego, kładąc wybitny nacisk, na konieczność docenienia przez kobietę ważności roli, jaką odgrywa w życiu rodzinnem, odpowiedniego przemyslenia jej i podstawowego przygotowania się do objęcia takowej.

Pierwszy rozdział książki, stanowi rozmowa p. Frederick, o za-

asadach znormalizowania wydajności w zastosowaniu naukowej organizacji w przemyśle, z inż. p. Wattson, na skutek której, autorka oświadcza mężowi: że nie pozwoli, by tylko mężczyźni spełniali wielkie zadania, że zasady Tayloryzmu zastosuje do swojej fabryki, do swoich interesów, do swojego domu. I rozpoczyna od badania i analizowania własnej pracy: sposobów, jakimi się do niej bierze i posługuje, warunków swego czasu i t. d. dochodzi do przeprowadzenia wielkich i zasadniczych zmian, do osiągnięcia idealnego ładu domowego, przy najmniejszym wysiłku, do radosnego poczucia spełnienia wielkiego problemu, stanu duchowego, który nakazuje zdobytą wiedzą, spostrzeżeniami i praktycznymi wynikami podzielić się z ogółem kobiet.

Autorka przechodzi do opisu znormalizowania kuchni, jako głównego warsztatu pracy domowej, poczem zatrzymuje się na zagadnieniu: jak po osiągnięciu wprawy w metodach wykonywania różnych prac domowych należy zorganizować użycie czasu właściwego na każdą pracę, by mogła być wykonaną najlepiej, bez skracania poprzedzającej, a utrudniania następnej. — Wszystko to pisane w sposób przystępny, a naukowo logiczny, żywo i barwnie, pociąga i interesuje czytelnika, nakazując mu zupełnie nowy, na te odwieczne sprawy, punkt widzenia.

Ciekawym bardzo jest rozdział „Taylorystyczny podręcznik kuchenny”, który się tem odznacza że nie jest książką, a skrzynką — segregatorem. Przepisy dzielą się na grupy: potraw np. potrzebujących goaziny przyrządzenia i gotowania i potrzebujących od godziny do czterech: legumin z jajami i bez jaj. Kompletnych posiłków tak zestawionych, że dają potrzebne człowiekowi ilości tłuszczu, węglowodanów, protein i soli i t. p. Przepisy mieszczą zawsze wskazówki kosztu, otrzymanych z danej porcji ilości, — czasu którego ich przyrządzenie wymaga i t. p.

Dwa rozdziały poświęcone są zagadnieniu zastosowania naukowej organizacji do pracy służby domowej. Ujęte w sposób iście amerykański, na zasadach odmiennych jeszcze od naszych warunków, ale do których zdążamy niezaprzeczenie, bardzo rażnym krokiem.

Książka p. Frederick mimo swego wybitnego amerykańizmu może nas wiele pod tym względem nauczyć — a rzecz naszej inteligencji przeszczepić ją na grunt polski tak, by nie była egzotycznym wykwitem obcego ducha, ale ogólnym

ludzkim dorobkiem myśli dostosowanej do warunków i potrzeb naszego narodu, naszego kobiecego społeczeństwa.

Rozdziały końcowe poświęcone są stanowisku i sposobom, jakimi powinna być traktowana i wykładana nauka gospodarstwa w wychowaniu i wykształceniu kobiety...

Są to rzeczy nadzwyczaj ciekawe, pouczające, w jakim kierunku powinniśmy wywierać wpływ na kształtowanie się szkolnictwa, by nie poszło po szlakach eksperymentów, a po jasno wytkniętej drodze naturalnego posłannictwa kobiety, która naukę gospodarstwa powinna traktować nie „jako przedmiot dodatkowy” — ale jako studjum poważne, oświetlone z różnych punktów widzenia przez cały czas wychowania i studjów.

Myślę, że takiej wytycznej w wychowaniu panien możemy my Polki tylko przyklasnąć. — Lubimy wzorować się na zagranicy, jest to często wada, czasem zeleta. Powinniśmy z niej skorzystać. Przystudjować i przemyśleć wzór amerykański, opracować jasny i dokładny sposób wprowadzenia „nauki gospodarstwa” nie jako przedmiotu dodatkowego, ale jako celu, do którego zmierzają wszystkie nauki dla dziewcząt, jako idei przewodniej wychowania kobiety.

P. Federick wymaga przytem, by umysł kobiety gruntownie oświecony i wyrobiony naukami humanitarnymi, socjologicznymi, przyrodniczymi i t. d. był jednak nie oderwany niemi od realnego życia, a przeciwnie przyuczony do stosowania w zagadnieniach i trudnościach życia; zdobywszy umysłu ludzkiego na polu naukowym, był przyuczony do codziennego drobiazgowego wykazywania łączności, pomiędzy wiedzą a życiem, pomiędzy teorią, a praktyką.

Książka p. Federick jest odłamem propagandy idei rodziny i kobiety domowego ogniska spełniającej swoje zadanie, przy najwyższym stopniu rozwoju umysłowego, który w tem spełnianiu jest pomocą, a nie przeszkodą.

Z książką tą powinna się zapoznać, każda kobieta, powinna wmyśleć się i wczuć w ten „zamorski”, a bardzo mądry system, z zamiarem dostosowania jego zasad do naszych warunków i to nie ogólnie, zasadniczo, teoretycznie, ale każda z Czytelniczek, w swoim własnym gospodarstwie i domu.

Z takich drobnych usiłowań, ze spostrzeżeń i prac dokonanych powstanie polski system Tayloryzmu w domu, o którym grupy osób, jakie by się podjęły tego, będą mogły mówić, dyskutować, rozwi-

jać i ulepszać. aż propaganda ogarnie cały kraj — zmieni gospodarz i społeczne warunki.

Sekcja gospodarstwa domowego, przy Wydziale Gospodarczym Stow. Zjed. Ziemianek, ogłosi niebawem konkurs „Wiedzy Gospodarczej“, polegający na zapoznaniu się z książką p. Frederick, przedyskutowaniu przez „kółka“, każdego poszczególnego rozdziału i postawieniu wniosków, co i jak dałoby się u nas przeprowadzić.

Najlepsze wnioski będą nagrodzone i rozesłane wszystkim kółkom w komunikatach, a może na rok przyszły uda się przeprowadzić konkurs poszczególnych gospodarstw, prowadzonych podług zasad taylorizmu.

A. Grzybowska.

## PORZĄDKI DOMOWE PRZED WYJAZDEM NA LETNISKO

Pytałam siebie nieraz, czem się żywią pająki warszawskie, nie lichwiarze, bo ten gatunek od czasu, gdy „porządni ludzie“ brali po 10, 20, nawet 40 procent miesięcznie od pożyczek, zbladł, zmałał, skurczył się i nakoniec zupełnie wyginał, lecz te zwykle pająki, żyjące zwykle i wszędzie muchami.

Na to pozostające bez odpowiedzi pytanie naprowadza mnie przeżająca ilość pajęczyn po rogach wszelkich korytarzy, łazienek, spiżarek i t. p.

Wszędzie zrobiono staranne porządki, sprzątnięto wszelkie zakamarki, a po dniach kilku w każdym kącie znów widać te szare, zakurzone, szkaradne przedzie. Więc się je znowu zmiata, ale pozostają przy życiu ci niezmodowani tkacze, te maleńkie pajęczki, które nie mając much, niewiedomo czem się żywią, a jednak potrafią zapstrzyć, zeszpecić obrazy, sztychy, fotografie, brzozy i inne, z trudnością dające się odczyścić przedmioty, najmilsze z naszego otoczenia.

Aby od tego uchronić obrazy olejne, najlepiej mieć raz na zawsze uszyte i dopasowane do każdego z nich futerały z jakiejś niedrogiej, lekkiej tkaniny — merli, musliu i t. p.

Nie należy obrazów zakrywać papierami grubymi, tekturą, gęstymi tkaninami. Farby olejne ciemnieją i żółkną z braku światła. Gdyby jednak muchy, lub pająki obrazy i ramy od nich uwalniały, najlepiej jest wziąć dużą cebulę, przekrajać ją na połowę i nacierać nią całą powierzchnię obrazu i ramy,

poczem zaraz zetrzeć sok z cebuli mięciuchną ściereczką, czarne punkciki zejda razem z cebulowym sokiem. Zapach cebuli ulotni się po paru godzinach. Tak samo wszelkie brzozy, złocone lampy wiszące i żyrandole brzozone należy ubrać w muslinowe sukienki. Wprawdzie i po takim zabezpieczeniu wszelkie kryształki będzie trzeba umyć jesienią, jednak c ociąż części metalowe — głównie złocone, tak nielubiące wody — zostaną ochronione. Kto ma lampy naftowe, powinien z nich naftę powylewać, szkło od góry zatkać tamponem z waty, aby kurz nie wchodził do palnika i lampę całą owinąć gazetowym papierem. Oczywiście stosuje się to do lamp, których się przez lato nie używa.

Żarówki elektryczne można ostrożnie umyć miękką szmatką umoczoną w wodzie z mydłem, nie zanurzając ich jednak w wodzie, — po umyciu należy je godzin kilka suszyć na słońcu, gdyż najlżejsza wilgoć pozostała na lampce powoduje natychmiastowe jej pęknięcie. Fotografie najlepiej jest pochować na całe lato, nie tylko pająki i muchy, lecz kurz i zbyt silne światło słoneczne niszczą je bardzo. To samo stosuje się do sztychów nieoprawionych — sztychy oprawione pod szkłem, mogą spokojnie pozostać na miejscu, co najwyżej można, wyjeżdżając na dłużej, poodwracać je rysunkiem do ściany, aby papier od silnych promieni słonecznych nie żółkł i nie ściemniał. Tę samą ostrożność należy zastosować do wszelkich, chociażby najstaranniej oprawionych akwarel.

Wszelkie srebra i platery, o ile nie mają być ochronione od złoździei, mogą spokojnie pozostać na swoich miejscach, kurz i słońce im nie szkodzą, a perjodyczne czyszczenie wodą z amoniakiem i mydłem, nawet po najlepszym przetrwaniu jest konieczne.

Wszelkie figurki porcelanowe, talerze na ścianach, fajanse i emalje też mogą sobie pozostać

na półkach i ścianach — jesienią gąbka z mydłem zwróci im całą świeżość barw i wygląd pierwotny: Kto ma duży zapas bielizny i koronek, winien je koniecznie, chociaż dzień jeden na słońcu posuszyć i na wietrze wywietrzyć, płótna i batysty, leżące w szufladach i na dnie kufrów, żółkną i traca moc. Stosuje się to nie tylko do nicianych i bawełnianych koronek, wszelkie brukselskie i weneckie koronki, wszelkie babcine blondy i „point à l'aiguille“, powinny wiosną wy dostać się na dni parę na słońce i powietrze, jedwab tak samo moc traci, jak len i bawełna. Niezależnie od wszelkich środków zapobiegawczych przeciwko mółom, o których w „Bluszczu“ napisano niejedną kolumnę, należy przed włożeniem na nie pokrowców wszystkie meble starannie wytrzeć i wytrzeć wilgotną ściereczką, zmoczoną w wodzie z żółcią wołową, ściereczka powinna być zmaczana w tym gorzkim roztworze i mocno wyżęta aby ani drzewa, ani obicia nie zmoczyła, a tylko zabrała resztki kurzu i pozostawiła jednak smak goryczy, specjalnie przez móle nielubiany.

Jak dalece móle nie znoszą smaku żółci, mam tego przykład na starym dywanie, wyszywanym ręką mojej babki.

Dywan ten parokrotnie był prany, z użyciem żółci wołowej i dzisiaj, po latach wielu, kiedy wszystkie ściennie przedmioty wciąż są napastowane przez móle, żaden z tych szkodników nie siada nawet na tym kochanym staruszkę, — nie chowam go wcale na lato, wisi zawsze na ścianie nad moim łóżkiem i ani jedna niteczka wełny nie jest w nim przejeżdżona. Przy przechowywaniu dywanów nie należy zapominać, że zwija się je mocno w rolkę, najlepiej na wałek, — składane dywany rozciągają się na składkach i całymi miesiącami nie dają się rozprostować. Futra, chociaż już uprzednio wytrępane i zabezpieczone od moli, należy jeszcze raz wywietrzyć i powybić, — żadne środki chemiczne, najbardziej zachwalane, nie działają tak dobrze, jak trzepaczka i świeże powietrze. Nakoniec, aby całe mieszkanie uczynić mniej gorącym i wnętrze jego ochronić od promieni słonecznych, bo przecież i tapety płowieją i ściany malowane zmieniają kolor, doskonale jest na czas naszej nieobecności okna i drzwi balkonów posmarować kredą rozrobioną mlekiem. Na jesieni przetarte papierem, lub suchą szmatą szyby, będą ślicznie połyskiwały i oszczędzą służbie roboty mycia.

Pani Elżbieta

DR. MED.

**J. ŚWITALSKA**

Choroby skórne, kosmetyka,  
wener.

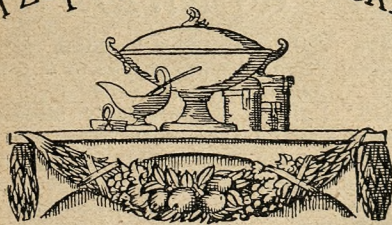
Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkania 3.

Telefon 102-77.



## Przepisy gospodarskie

SOKI OWOCOWE (syropy)  
(Ciąg dalszy)

Sok z czerwonych porzeczek. Sok z porzeczek ma skłonność do galaretowania się, a gdy się zgalaretuje, trudno go wydstać z butelki. Poza tą jedyną wadą, jest wyborny do potraw i do wody. W kuchni też ma duże zastosowanie jako dodatek do sosów zwierzynowych i jako podstawa najwykwintniejszego z zimnych sosów, sosu „Cumberland”. Porzeczek jak najdojrzalsze poobrywać z gałązek, które dają cierpkosć, zalać wodą tyle, aby je objęła, gotować aż zbledną, precedzić przez flanelowy worek. Na litr soku wziąć kili cukru, cukier zalać sokiem, zagotować na silnym ogniu, zszumować, pogotować jeszcze około pięciu minut na mniejszym ogniu, zastudzić i zimny zlewać do butelek. Czemu krócej się sok gotuje tem mniej ma skłonności do galaretowania. Gdyby pomimo wszelkich przedsięwziętych ostrożności sok się zgalaretował, należy przed użyciem wstawić w rondel z zimną wodą, wodę zagrzać, lecz nie gotować, poczem rondel odstawić i dać wodzie ostygnąć, dopiero wtedy wyjąć butelkę, aby nie pękła.

Sok malinowy z porzeczkowym. Wyborny jest sok z mieszanych tych obu owoców, maliny dają mu aromat, porzeczeki kwas i gęstość. Jednego i drugiego owocu bierze się po połowie, zalewa wodą tyle, aby objęła, zagotowuje, precedza przez flanelowy worek, a dalej się smaży jak zwykły sok malinowy lub porzeczkowy, smażyć należy prędko, aby nie stracił aromatu malin i nie zechciał się zgalaretować, jak czysty sok porzeczkowy.

Sok wiśniowy zwykły. Wiśnie dojrzałe, czarne, kwaskowe oczyścić z szypulek i utrzyć w makutrze (pestki pozostają całe), masę tę zalać wodą, aby objęła, przełożyć do szklanego słoja i trzymać 24 godziny na słońcu lub w cieple. Przełać do flanelowego worka, dać dobrze ściec, a nawet mocno wycisnąć. Odmierzyć, na cztery szklanki soku wziąć trzy szklanki cukru. Naprzód wlać sok do miedzianki mosiężnej (w innym naczyniu

sok wiśniowy traci kolor, staje się sinawy), potem wsypać cukier, dobrze wymieszać, zagotować na mocniejszym ogniu pogotować około dwudziestu minut. Gdy sok jest klarowny i nieco zgęstnieje, odstawić od ognia, na każdy litr włożyć pastylkę „benzoesu” rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, zastudzić dobrze w tejże miedziance, lub przełać do porcelanowego naczynia. — Ostudzony zlewać do czystych, suchych butelek, zakorkować, korki osmolić i trzymać w suchym, chłodnym miejscu.

Sok z czarnych porzeczek Jeden z najsmaczniejszych soków, u nas mało znany i używany. Czarne porzeczeki (surowe) mają pewien niezbyt przyjemny zapach, który powoduje, że nie wszyscy mają zaufanie do konserwów z nich.

Tymczasem konfitury i sok z niej są wyborne już nie mówiąc o nalewce, — królowej wszystkich nalewek. Porzeczeki czarne, przebrane czysto, nalać zimną wodą aby objęła, zagotować na silnym ogniu, aby jagódki popękały, pognieść je jeszcze mocno drewnianą łyżką, wylać do flanelowego worka, jak sok ścieknie, jeszcze mocno wycisnąć.

Sok ten zmieszać, na litr soku brać kilo cukru, cukier wsypać do nalanego w mosiężną miedziankę soku (w innej niż mosiężna miedziance sok ten, jak i wiśniowy, kolor traci). Zagotować raz na gwałtownym ogniu, zszumować, postawić na wolniejszy ogień i gotować jeszcze około dwudziestu minut. Gdy sok zupełnie klarowny, odstawić, na każdy litr dodać jedną pastylkę „benzoesu” rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, ostudzić dobrze, poczem zlewać do czystych suchych butelek, zakorkować, korki osmolić lub zalakować i przechowywać w suchym, chłodnym miejscu.

\* \* \*

## KURCZĘTA PO FRANCUSKU

Na cztery osoby dwoje dużych tłustych kurczaków rozkrawać na ćwiartki, wybić mocno, jak na kotlety odbijane, powymocować zgruchotane, większe kości, osolić, skropić sokiem cytrynowym i oliwą.



Niech tak poleżą godziny dwie do trzech, aby przez ten czas dobrze skruszały. Uważać wybijając, aby nabrały kształtu dużego kotleta. Na pół godziny przed obiadem utarzać kawałki naprzód w pszennej mące, potem umaczać w dwóch rozbitych jajach, nakoniec w tartej bułeczce, której warstwa powinna być możliwie gruba. W płaskim rondlu rozpałić dobrą oliwę w takiej ilości, jak do smażenia faworków lub pączków, wrzucić na to kurczęta, smażyć, aż się ładnie z obu stron obrumienia, poczem jeszcze minut dziesięć potrzymać w rondlu na nieco mniejszym ogniu, a to w tym celu, aby i wewnątrz doszły.

Kurczęta wyjąć widelcem, osaczyć w bibule ze zbytecznego tłuszczu, przez ten czas na oliwie usmażyć pączek zielonej pietruszki. Kurczęta ułożyć na okrągłym półmisku, na wierzchu położyć smażoną pietruszkę, naokoło położyć cytrynę, pokrajaną w podłużne ćwiartki i tak wydać. Kto nie lubi oliwy, może użyć szmalcu, lub frytury, na oliwie smażone są jednak wyborne.

## KURCZĘTA „A LA MARENGO”

Bardzo duże kurczę lub dwoje mniejszych rozebrać na 5 do 6 części, dodać szypkę z główką, pepek, wątrobę. W nelsonce lub płaskim rondlu rozgrzać 10 deka najlepszej oliwy, włożyć na to jeden obok drugiego kawałki kurcząt, osypać dużą garścią pietruszki zielonej, grubo pokrajanej, włożyć 10 deka drobnych cebulek całych, łyżeczkę soli, szczyptę pieprzu, dwie główki czosnku podzielone na ząbki, listek laurowy i trzy gramy tymianku, przykryć pokrywą i dusić na wolnym ogniu, potrząsając rondlem, aby nie przystało przez pół godziny. Popróbować kurczę, jeśli już nie jest surowe, wybrać widelcem, przełożyć w mały rondel, wstawić do większego z gorącą wodą, aby nie wystygło.

Do sosu wsypać 4 deka mąki wymieszać starannie aby nie było klusek, wlać szklanekę rosółu, zagotować.

Włożyć napowrót kurczę, rozgrzać, ułożyć na półmisku zalane sosem, lub podawać w temże samem naczyniu, — o ile rondel nie jest ładny, owinąć go serwetą. Dla osób znoszących zapach czosnku, jest to wyborny sposób przyrządzania kurcząt.

Na wsi, gdzie o mięso świeże latem jest trudno, a kurcząt jest obfitość, każdy nowy sposób ich przyrządzania jest mile widziany.

Pani Elżbieta.

## Korespondencje działu praktycznego

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Kosmetyków za zaliczką, ani też ordynacji za zaliczką nie posyłam. Jeżeli pytanie wogóle nadaje się do odpowiedzi, odpowiadam na nie w *Bluszczu*. Jeśli komu chodzi o specjalną listowną poradę, odpowiadam listownie po przesłaniu honorarium w sumie 20 zł. zastrzegając się z góry, że nie na wszystkie pytania można zaocznie odpowiedzieć.

*Felicja W.*

Białe, podskórne punkciki usunąć można jedynie przez złuszczenie skóry — co wykonać może tylko lekarz specjalista.

Zmarszczki usunąć się dadzą, przy cierpliwości i wytrwałości pod wpływem umiejętnego masażu.

Na łuszczenie się suchej skóry polecić mogę olejek wazelinowy z kroplą różaną.

Biust tylko masaż poprawić może, a zamierzony Pani przyjazd do Warszawy, może Pani ułatwić poradzenie na te wszystkie dolegliwości.

*J. Woł. Czartojew.*

W artykule o pielęgnowaniu włosów w *Bluszczu* z dnia 23 Maja znajdzie Pani wszystko, co się da ogólnie powiedzieć o pielęgnowaniu włosów u dzieci.

Rozjaśnić włosy można, myjąc je w odwarze rumianku raz na 10 dni, a jeżeli dziecko dobrze znosi słońce, kazać mu biegać po słońcu z odkrytą główką. Przyszczygać należy do lat 7-miu.

*Zofja S. Wołyn.*

Wyczerpujące wskazówki o pielęgnowaniu włosów znajdzie Pani w artykule o włosach w *Bluszczu* z dnia 23 Maja. Nie daje Pani żadnych szczegółów co do swoich włosów, więc specjalnej rady, której mogą wymagać włosy Pani, dać nie mogę.

Na piegi radykalnego środka nie ma — czasowo usunąć je można, złuszczaając skórę odpowiednimi środkami, które stosować może tylko lekarz.

Na schudnięcie zalecić mogę odpowiedni tryb życia: dużo ruchu, gimnastyka, sporty, umiarkowane odżywianie się, mało płynów, tłuszczów, słodczy — i odpowiedni masaż.

Kolor zębów jest wrodzony. Czy Pani pali? Trochę poprawić może mycie zębów dwa razy dziennie,

zwłaszcza wieczorem, kredą, dobrze nacierając, a do wody dodać wody utlenionej łyżkę na szklanę wody.

Na usunięcie niepotrzebnego uwłosienia są środki, które stosować trzeba stale dwa razy tygodniowo. Z chwilą gdy się przestaje je stosować, włosy porastają jeszcze bujniejsze; pozostaje usunięcie ich za pomocą elektrolizy, co jest żmudne i kosztowne.

Kosmetyków za zaliczką nie wysyłam.

*Z. Urb. z Wiązownicy.*

Łupież, który poprzedza zwykle wypadanie włosów, usunąć się da przez stosowanie maści siarczanej 10 gr. siarki na 100 gr. wazeliny, na 24 godz. a przynajmniej na 12 godz. przed myciem głowy.

Wągry i krosty usunąć można przy wielkiej cierpliwości, zmywać należy twarz benzyną lub spirytusem wata, masażować umiejętnie, parować po parę minut, 2 do 3 razy tygodniowo i przypudrowywać, mączką ryżową. Najlepiej udać się do lekarza specjalisty.

Piegi — patrz odpowiedź Z. S. z Wołynia.

Owłosienie rąk — patrz odpowiedź Z. S. z Wołynia.

Puder jedynie nieszkodliwy to zwykła mączka ryżowa.

Włosy pojaśnić można, zmywając odwarem rumianku, 1 łyżka na 1 szkl. wody i na 8 szkl. tego płynu 1 łyżka utlenionej wody, ale nie więcej, gdyż w przeciwnym razie włosy się łamią.

*Dr. med. J. Świtalska.*

## T A B E L K A przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

## Opis sukien i robót do Nr. 25.

414. Suknia letnia z bawełny merseryzowanej. Spódniczka, układana w kontrafaldy — pasek ponsowy, skórkowy.

415. Suknia z georgette'y morelowej, dół przybrany falbanami w zęby.

416. Suknia z czarnego ottomanu. — Przód z białego atlasu — guziczki czarne.

417. Casaque z woalu, wykończony kolorową plisłą.

418. Suknia dla młodej panienci z płótna electric, kołnierzyk i kieszonki białe.

419. Strojna suknia z crêpe de chine'u, koloru cyclamen z falbaną, układaną w wachlarze.

420. Casaque z surowego jedwabiu, przybrany haftem.

421. Suknia dla młodej panienci z popeliny ponsowej, układana w fałdki. Kołnier i krawat czarne lub granatowe.

422. Suknia dla młodej panienci z „tricotine" granatowej, przybrana białą plisłą.

423. Suknia z kreponu blade lila w deseń, przód wykończony białym.

424. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 5 z crêpe de chine'u różowego — cała plisowana.

425. Ubranko dla chłopczyka od lat 3 do 5 z płóciątka kremowego, wykończone ponsowym.

426. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 6 z surowego jedwabiu w kratę.

427. Palocik dla chłopczyka od lat 5 do 7 z sukienka, lub szewiotu granatowego, kołnier białym, naszyty granatową tasiemeczką.

428. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 10 z ponsowej popeliny, wykończone czarną aksamitką i falbaneczkami z walansjenki.

429. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 6 z płótna granatowego, wykończone haftowaną plisłą.

430-432-433. Narożniki chusteczek. Haft podłożony tiulem.

431. Wzór na kołnierzyk haftowany.

434. Kołnierzyk i kamizelka — haft biały.

435. Wzór na poduszkę — haft richelieu.

## Nadesłane do Redakcji (Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

P. ZOFJI S. Przeciw opaleniznie radzimy używać „Krem Precioza", który od lat 30-tu cieszy się zasłużonym uznaniem i usuwa nawet wątrobiane plamy, nie mówiąc już o piegach. Lepszego środka przeciw piegom i opaleniznie niema. Chcąc utrzymać cerę białą, na której by nie było znać wpływu słońca, radzimy używać „Krem Abarid", który, codziennie na noc wcierać w małej ilości, a następnie przypudrować silnie, wybielającym „Pyłkiem Juvenia Candida". Rano zmyć twarz ciepłą wodą i „Otrąbkami Abaridowemi". Jeżeli idzie o ręce, to zamiast kremu, można używać „Pâte de Prelats", postępując jak wyżej.

P. NATALJI Woda utleniona niszczy włosy, i nadaje im brzydką, płową odcień oraz martwy wygląd, wobec czego, nie wolno jej używać do rozjaśniania włosów, o ile się je chce zachować jaknajdłużej. Dla rozjaśnienia, polecamy Pani „Płyn Hella", który jest zupełnie nieszkodliwy, rozjaśnia włosy i utrzymuje w tonie, nadając im cudowny, złoty odcień, połysk i żywość.

M. Ercedes.